AS

Nr. 15

11 KWIETNIA 1937 R.

CENA 40 GROSZY



ZAGADKA WSCHODU

Staropolskie Święcone

Konkurs „Asa" na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny

Młoda gosposia ze święconem w drodze do kościoła.

Podobnie jak w roku ubiegłym, tak i w r. b. ogłosiła Redakcja „Asa" konkurs na najpiękniej, wedle tradycji, zastawiony stół wielkanocny. Zdjęcia fotograficzne zaczęły już nadchodzić i pierwszą serję ich zamieszczamy obok.

„Nie tak in illo tempore bywało...".

Święcone urządzano przedewszystkiem w zamożniejszych domach, nie szczędząc kosztów, aby tylko dzień uroczysty Wielkanocy zgromadzić mógł rodzinę i zaproszonych gości przy obfitym smakowitemi potrawami zastawionem, święconem. W pokoju jadalnym, który wobec dzisiejszych nazwaćby trzeba salą jadalną, rozkładało się stół obliczony na 24 osób, a gospodyni — dzisiejsza pani domu — miała dość do czynienia w wielką sobotę od rana, aby na wczesne godziny popołudniowe mogły być zakończone przygotowania do święconego.

Ze spiżarni i piwnicy przynosiła służba wielkie półmiski z wędlinami, zimne mięsne dania, pieczywo w kilku gatunkach, pisanki, słodkie ciasta, torty, mazurki, placki, pierniki na wzór toruńskich pieczone, omszałe butelki miodu i wina, wreszcie chleb, sól, ocet, gałązki bukszpanu, kwiaty doniczkowe i cięte, zebrane z wiosennego stołu natury... i wodę święconą z kropidełkiem, których w dawnych domach nie brakowało.

Wszystko to ustawiały pracowite dłonie gospodyni z pomocą starszych córek na bieli wielkiego białego obrusa, który zasłaniał cały stół a rzadko bywał używany, gdyż spełniał tylko funkcje reprezentacyjne przy stole ze święconem. Centralne miejsce zajmowały na nim wspaniałe baby petynetowe, po których zostały jeszcze wspomnienia w dawnych przepisach kucharskich, mówiące, że na ciasto zużywano kilka kop jaj... Pięknie lukrowane, wysokie, pękate, były prawdziwą chlubą gospodyni. Na najwyższej górował baranek wielkanocny, trzymając straż przy bogatej zastawie.

Wokół bab stały wieńcem co największe półmiski z szynką, kiełbasami, ozorami itd, tem smaczniejszemi od dzisiejszych, że przygotowywano je po domach. Miały niespotykany dziś zapach dymu jałowcowego, w którym je wędzono. Przy wędlinach zimne mięsa, dziczyzna, ptactwo z trofeami myśliwskiemi gospodarza, wśród których nie brakowało i króla wiosennej kniei — głuszca.



Święcone „Wrześnianki" z Wrześni — obliczone na nieliczną rodzinę przy skromnym budżecie.



„Skromne święcone" — Lwów.

Brzegiem stołu ustawiano słodycze. Pięknie po domowemu dekorowane przekładańce, mazurki w wielu odmianach, kilka tortów o wymiarach conajmniej młyńskich kół... Któż spamięta je dziś i zliczy! Dalej wyjeżdżały na stół wielkanocny patery z owocami. Kto umiał je przechowywać do wiosny, szczycił się własnym zbiorem, inny kupował zagraniczne pomarańcze, banany... a zdarzył się co w bogatszym domu i ananas, bo jeśli stać było gospodarzy na migdały, pistacje, znalazło się w ogólnym budżecie miejsce także i na ten najsmakowitszy z owoców.

Jeszcze rozstawienie butelek, jeszcze doniczki z kwiatami, jeszcze ozdobienie półmisków bukszpanem, przyrzucenie tu i ówdzie, na wsi, dopiero co rozkwitłych w ogrodzie fjołków... i stół był gotów.

Tak to „in illo tempore" bywało.

Dziś Wielkanoc i święcone, znalazły się, jak całe życie pod znakiem kryzysu gospodarczego. Skromne przyjęcia świąteczne nie wymagają przygotowań w tej skali, jak to dawniej praktykowano. Często gęsto cała rodzina spędza dni świąteczne w poszukiwaniu ostatków zimy w podgórskich uzdrowiskach. Zdrowiej to zapewne, a czasem bywa i taniej. Młodzież zaś wyhasać się może ostatni raz na nartach.

Tak mówi dziś wielu. I słusznie!

A jednak trudno powstrzymać się od wyrażenia żalu za ginącym przepięknym tradycyjnym zwyczajem święconego... Przecież nie wszyscy opuszczają swe siedziby na święta. Ci, co zostają w domu, mogliby nie zrywać ze zwyczajami przeszłości. Że tak jest jeszcze w wielu wypadkach świadczą otrzymane przez nas ubiegłego roku i w tym roku zdjęcia nadesłane na konkurs wielkanocny „Asa".

Reprodukujemy dziś ich pierwszą serję. W listach, z nimi otrzymanych czytamy, że są to stoły skromnych rodzin, liczących się dziś z każdym wydatkiem i mogących na stół wielkanocny postawić tylko troszkę zapasów żywności, zakupionych na same święta, a więc na dwa dni, w obliczeniu na kilka osób.

Tem więcej jednak pochwalić należy te domy, które obniżając z konieczności poziom życia, nie zrywają z tradycją, lecz w skromniejszych ramach, starają się ją zachować i przekazać młodszym do naśladowania.





Oto stoły wielkanocne różnorodnie zastawione. Od lewej: „Święcone" małej rodziny w Lesznie, oraz stół wielkanocny p. L. z Pabjanic.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

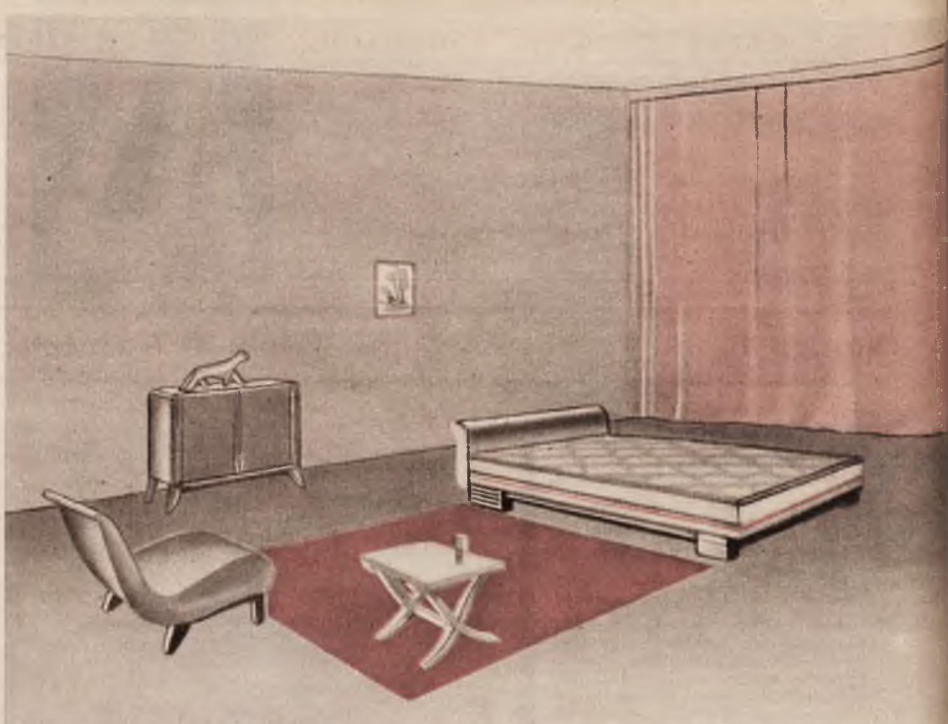
Numer 15 **Niedziela 11 kwietnia 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 15-GO:

Fot. Krzeptowski — Zakopane.

Kasprowy Wierch stał się dzięki kolejce linowej prawdziwą Mekką dla niezliczonych rzesz narciarzy, którzy szczególnie teraz — w okresie wiosennym, gdy na niziny wiosna wkracza triumfalnie, starają się w górach „schwytać“ ostatnie możliwości uprawiania sportów zimowych. Na zdjęciu: Znana artystka scen warszawskich, p. Kazimiera Skalska w towarzystwie doskonałego zawodnika S. N. „Wisła“ Bochenka, na Kasprowym Wierchu.

WYSTAWA WNĘTRZA W I. P. S.-IE



Pokój pani, projekt inż. arch. Kazimierza Prószyńskiego.

Dokonano wielkiego dzieła, urządzając wystawę wnętrz mieszkalnych, zorganizowaną przez zakład architektury polskiej i historji sztuki Politechniki warszawskiej. W instytucji tej powstała specjalna komórka o dużej inicjatywie pod nazwą „Studjum wnętrz i sprzętu". Kierownikiem studjum oraz komisarzem wystawy urządzonej w warszawskim Ipsie jest inż. arch. dr. Stefan Sienicki, który opracował wystawę o znaczeniu pionierskiem, łącząc w niej zarówno inżynierów, architektów, jak i przedstawicieli rzemiosła.

Wystawa jest znakomitym sprawdzianem talentu organizacyjnego dra Stefana Sienickiego, któremu udało się po raz pierwszy przełamać piętrzące się trudności organizacyjno-finansowe i wystąpić po roku trudów i wysiłków „z próbą i pokazem dla publiczności, jakie efekty można osiągnąć w meblarstwie, nie uciekając się do obcych materjałów", jak wysoką jest sprawność polskiego rzemiosła i jak znakomite owoce wydaje harmonijna współpraca artystów z polskim rzemieślnikiem, który w przeszłości skutecznie rywalizował z mistrzostwem zagranicznych „asów" meblarskich. Dr Sienicki, chcąc nawiązać do tradycji, przypominał o istnieniu wysokowartościowych mebli kolbuszowskich, wydając monografję, która jest niejako ideowem przygotowaniem do podjętej pracy stworzenia współczesnego polskiego mebla, odpowiadającego duchowi czasu i warunkom ekonomicznym.

„Studjum wnętrza i sprzętu" zamierza opracowywać, licząc się z potrzebami rynku, wzory dla produkcji przemysłowej, a przedewszystkiem dla rzemiosła, chce naukowo rozwiązywać problemy współczesne, badać rozwiązania i formy historyczne, aby z przeszłości czerpać, jeżeli nie wzory, to w każdym razie natchnienie i oparcie dla pracy w chwili bieżącej, zapewniając jej związek z rodzimą tradycją. Dalszym etapem prac „Studjum" będzie udostępnienie fachowcom i szerszej publiczności wyników swej badawczej i twórczej działalności za pomocą wydawnictw specjalnych, z których ukazały się już dwa (o meblach kolbuszowskich i meblach wnętrz mieszkalnych).

Sprzęt kolbuszowski zachowany w niewielu okazach w domach polskiej arystokracji był dumą i chlubą polskiego rzemiosła na przełomie XVIII wieku. Wywożony z Kolbuszowy do Wiednia, nazywał się meblem Marji Teresy i pod tem mianem znany był w Europie.





Pokój stołowy, projekt inż. arch. dra Stefana Sienickiego.

Powyżej na lewo:
Ścianka alabastrowa w pokoju stołowym, projektu inż. arch. Marka J. Leykama.

Celem wystawy jest pokazanie wnętrz mieszkalnych na poziomie średniej zamożności w cenie około 1500 zł. za komplet. Wnętrza wystawy są próbą rozwiązania zagadnienia współczesnego pokoju mieszkalnego, który zatracił funkcję reprezentacyjną, a służy celom uniwersalnym. Wpływ wykonawców na szeroko zakreślony program zaznaczył się w wyborze projektów o charakterze droższym, bardziej odpowiadającym wystawowemu przeznaczeniu.

Architektura wnętrza zmuszona jest iść w parze z postępem architektury budowlanej, która nabrała niemal rewolucyjnego charakteru. Zniknęły salony, bawialnie, buduary i stołowe pokoje, a człowiek współczesny zrozumiał nareszcie, iż mieszkanie urządza przedewszystkiem dla siebie, a nie dla gości. Architekt współczesnego wnętrza





Od lewej: Płaska szafa, z obrotowemi półkami, na pomieszczenie rysunków i rol papieru i...

...ta sama szafa zamknięta.

znalazł wiele nowych rozwiązań tematu pokoju mieszkalnego, które znała każda epoka historyczna. Dąży on pozatem do znormalizowania typu współczesnego mebla mieszkalnego, skomponowanego w stylu naszej epoki.

Przemiany społeczne związane były z przemianami wnętrza mieszkalnego. Historja meblarstwa zna w swej zamierzchłej przeszłości sprzęt, który dopiero w Polsce utrzymany jest w charakterze szlachetnego prymitywu z meblami z wiązu polerowanego i z intarsją geometyczną z orzecha. Inż. arch. Jan Bogusławski zaprojektował pokój pani z meblami wykwitnemi z drzewa jaworowego o kolorze naturalnym i drzewa brzozowego, barwionego na kolor palisandru. Bardzo pomysłowem jest lustro Józefa Dudały. Arch. Nina Jankowska stworzyła wnętrze letniskowe, podzielone na część



Powyżej: Pokój pani, projekt inż. arch. Jana Bogusławskiego, fresk Bolesława Dybisa.

Na lewo: Taras, projekt inż. arch. Włodzimierza Padlewskiego. Rzeźba F. Strynkiewicza, kompozycja ściany wykonana z obić papierowych wg. projektu art. mal. H. Jaworskiego, A. Łyżwańskiego i W. Kocha.

w XVIII wieku nazwano meblem dla podkreślenia, iż poza charakterem użytkowym sprzętu, mebel ma swój dekoracyjny wyraz.

Na wystawie znajduje się gabinet projektu inż. arch. Sienickiego, pojęty jako miejsce pracy w skromnem mieszkaniu. Drugi gabinet tegoż dra Stefana Sienickeigo, o charakterze bardziej reprezentacyjnym, wykonany w dębie matowym, barwionym na kolor szary oraz w kwadraty z czarnej gruszki polerowanej. W gabinecie zastosowano w szafkach urządzenie do segregacji akt według najnowszej instrukcji, normalizującej urządzenia biurowe. Inż. arch. Stanisław Gałęzowski zaprojektował pracownię z pomysłową szafą płaską z obrotowemi półkami na pomieszczenie rysunków i miejscem na zwoje papieru. Pomysłowe półki mogą być rozbudowane dowolnie w bok i wzwyż. Inż. Stan. Połujan przedstawił projekty metalowych mebli, wśród których estetyką i wygodą odznacza się stalowy fotel. Szlachetnym w swej prostocie jest przedpokój inż. Sienickiego. Na staropolskiej tradycji oparty jest pokój stołowy, w którym subtelnie harmonizują tkaniny i obicia, z meblami, wykonanemi z drzewa brzostowego, (fornier), matowanego z częściami czarnemi, polerowanemi. Inż. Stefan Koziński wystawił gabinet o charakterze pracowni i miejsca wypoczynku Arch. Piotr M. Lubiński stworzył wnętrze pokoju stołowego, przeznaczonego również dla celów reprezentacyjnych, inż. arch. Marek Leykam pokój stołowy, wykonany z brzostu polerowanego z intarsją z czarnej gruszki i krzesłami, krytemi pergaminową skórą. Pomysłową wielce jest ścianka alabastrowa. Inż. arch. Zofja Dziewulska zaprojektowała pokój mieszkalny o przeznaczeniu pokoju stołowego i miejsca pracy. Oryginalną jest kanapa o przenośnem oparciu. Inż. arch. Włodzimierz Padlewski zabudował taras i skomponował pomysłowo składane leżaki i fotele z brzozy jasno lakierowanej. Ciekawą kompozycję ściany, wykonanej z obić papierowych, projektowali art. malarze H. Jaworski, A Łyżwański i W. Koch. Pokój sypialny inż. arch. dra Stefana Sienickiego

Poniżej: Przedpokój, projekt inż. arch. dra S. Sienickiego. Metalowe wieszaki wykonał Antoni Szmalenberg.



mieszkalną, stołową i sypialną. Inż. Kazimierz Prószyński zaprojektował wnętrze mieszkalne w charakterze nieco zmodernizowanego pierwszego cesarstwa. W urządzeniu wystawy podkreślić należy staranność wykonania wszystkich szczegółów, a zwłaszcza widocznej troski o harmonijne malarskie zestrojenie wszystkich dekoracyjnych elementów. Wykwintnym smakiem odznaczają się kompozycje firanek okiennych wykonanych z siatek, tjulów i lnianych materyj, jak również obić ściennych i różnorodnej kolorystycznej tonacji ścian w jednym pokoju.

Trudne warunki lokalowe nie pozwalały na uzasadnienie logiczne i zmuszały do uciekania się do pewnych, nieszkodliwych zresztą, teatralnych efektów.

Aczkolwiek wystawione wnętrza nie rozwiązują postawionych problemów konstrukcyjnych i estetycznych, to jednak cieszyć się należy, iż poczyniono pierwszy poważny krok w unikaniu tworzenia kosztownych prymitywów, a w dążeniu do stworzenia szlachetnego standartowego typu mebla dla klasy średnio zamożnej.

M. Dienstl-Dąbrowa.



Pokój stołowy, projekt inż. arch. Marka J. Leykama. Obraz art. mal. E. Kokoszko.



Gabinet, projekt inż. arch. dra Stefana Sienickiego. Obraz art. mal. W. Borowskiego.



Na lewo: Obecny szef domu i koncernu, bar. H. Mitsui.

ten genjalny malarz japoński, który wywarł tak doniosły wpływ na nasz impresjonizm, umieścił na przednim planie swego słynnego obrazu Fudżijamy sklep Mitsuich. Fudżijama, cel pielgrzymek buddystów i świętość narodowa Nipponu i sklep Mitsuich — oto symbole Japonji!

Pierwszy raz nazwisko Mitsui pojawia się dokumentarnie w okresie odkrycia Ameryki. O 200 lat później, w wieku XVII, notują kroniki rodu pierwsze zebranie ogólnej rady familijnej i wtedy to położono podwaliny pod ten potężny koncern finasowy i handlowy, który dziś obejmuje ponad 254 najróżnorodniejszych przedsiębiorstw o łącznym kapitale około 35 miljardów franków, którego własność stanowią bogate kopalnie rud i węgla, olbrzymie zakłady metalurgiczne i włókiennicze, fabryki papieru i barwików, elektrownie, stocznie, zakłady ubezpieczeniowe, banki i potężna flota handlowa. A gigantyczne to przedsiębiorstwo, którego nici zbiegają się wszystkie w centrali w Tokio, opiera swoje zakłady handlowe i swą politykę komercjalną na zasadach, ustalonych jeszcze w XVII wieku, a przystosowanych dopiero w roku 1900 nieco do współczesnych potrzeb. Niedawno temu senior tego domu, hrabia Mitsui Hachiroemon, w wieku bardzo

MITSUI

DZIEJE KONCERNU I RODU

Na dalekim wschodzie narastają wydarzenia i dojrzewają konflikty międzynarodowe, które może nieprędko jeszcze się rozpętają, lecz które kiedyś dla świata będą miały olbrzymie znaczenie. Nic dziwnego więc, że uwaga całego świata cywilizowanego zwraca się coraz intensywniej w stronę dalekiego wschodu, zaś w pierwszym rzędzie w stronę Japonji.

W październiku ubiegłego roku bawiła w Warszawie nieoficjalna delegacja gospodarcza japońska, a w prasie rozeszły się pogłoski, że wielki japoński koncern Mitsui zamierza założyć w Polce swoją reprezentację.

Mówiąc o japońskim handlu, nie sposób pominąć nazwiska Mitsuich, jego dyktatorów i potentatów, właścicieli większości bogactw naturalnych dzisiejszego Nipponu, najbogatszych chyba ludzi świata.

Porównanie tych japońskich arystokratów handlu do amerykańskich magnatów finansowych, jak np. Rockefellerów czy Morganów — jest o tyle niezupełnem, że nie daje pojęcia o ich znaczeniu i wpływach w japońskiej polityce wewnętrznej, w ekonomji i w dziedzinie finansowej ich ojczyzny, że nie ilustruje nam w dostatecznej mierze, jak to z potęgą ich pieniądza i z ich wpływami idzie w parze urok nazwiska, reprezentującego najwyższą arystokrację Japonji, oraz wiekową tradycję tego domu. Stronnictwa polityczne, polityka finansowa, nawet parlament japoński stoją pod przemożnym wpływem Mitsuich. Jedna czwarta całego handlu japońskiego nosi na skrzyniach i workach ich znak rodowy, a flaga Mitsuich powiewa z okrętów floty handlowej, która osiągnęła tonnaż równy tonnażowi całej francuskiej floty handlowej. Nic więc dziwnego, że w Japonji nazwisko Mitsui stało się określeniem. Cytuje się je w sztukach teatralnych, w powieści, a sam wielki Hokusai,

podeszłym ustąpił ze swego kierowniczego stanowiska, a jego następcą został obrany młody, bo 39 lat liczący Takakimi Mitsui. Studja odbył on w Anglji, gdyż i to należy do tradycyj Mitsuich, że synowie tego rodu studjują na uniwersytetach angielskich.

W Tokio jest centrala tego koncernu, którego interesy sięgają daleko poza granice Japonji, obejmując prawie cały świat. Tu też znajduje się ich olbrzymi dom towarowy, założony na dwieście lat przed wszelkiemi podobnemi instytucjami zachodniemi. Stąd też wyszła ich oryginalna reklama, która w swoim czasie stanowiła zarówno dla Japonji jak i dla Europy coś zupełnie nowego. Podczas długiej pory deszczowej rozdawano kupującym duże parasole z papieru naoliwionego, na których w jaskrawych literach było wypisane nazwisko Mitsui. Oni też pierwsi oblepiali mury domów i ogrodzenia swojemi ogłoszeniami, finansowali teatry i imprezy artystyczne, gdzie wymieniano ich firmę, urządzali w swym domu towarowym „okazyjne sprzedaże" — i wszystko to wtedy już, gdy takie formy reklamy, uważano powszechnie za wykwit najnowocześniejszego kapitalizmu, w Europie ani w Ameryce nikomu się jeszcze nie śniły. śniły.

Drugim co do ważności oddziałem tego koncernu, to ich biura na Broadway'u w Nowym Jorku. W jego rękach spoczywa przecież 90 proc. udziałów jednego z największych amerykańskich przedsiębiorstw eksportujących bawełnę. Tu też koncentruje się przedewszystkiem ta część importu do Japonji, która przechodzi przez ręce Mitsuich. W roku 1933 stanowiła ona 85 proc. wełny, 40 proc. ziemiopłodów, 57 proc. węgla i 40 proc. maszyn ogólnego importu.

80.000 pracowników liczy koncern Mitsuich i wszyscy oni biorą w jakiś sposób udział w zyskach tego koncernu. „Praca na wzajemności" — Kyoson — brzmi hasło i pierwsza zasada tego rodu, odziedziczona od swego praszczura i święcie przestrzegana jako prawo domu i zasada handlowa przez wszystkie pokolenia. Kyoson, brzmi japońska nazwa tego pojęcia, obejmującego zarówno zasadę udziału w zyskach, jak i zespolenie humanitarności z interesem. Każdy pracownik Mitsuich, tragarz czy prokurent, chłopiec do posyłek, marynarz, górnik, czy urzędnik — wie, że gdy sumiennie będzie spełniał swe obowiązki pozostanie aż do końca życia pod opieką swej firmy i że opiekę tę rozciągnie ona też po jego śmierci na rodzinę. Mitsui chwalą się tem, że nigdy jeszcze w przedsiębiorstwach ich nie wybuchł strajk na tle niskich wynagrodzeń lub wyzysku pracownika. Już w XVII wieku organizowali oni celową opiekę zdrowotną dla swoich podwładnych. Rozdawano ulotki, jak, należy higjenicznie żyć (oczywiście w ramach ówczesnych poglądów na ten temat), godziny pracy przeplatano chwilami odpoczynku i wytchnienia, przełożonym nakazywano dbałość o czystość ubrania i ciała swoich podwładnych. Nadwyżkę zysków, począwszy od pewnej granicy, rozdzielano wśród personalu — i to nietylko w teorji i w pięknych obietnicach, lecz w brzęczącej monecie.



Przodek domu Mitsuich, Hachirobej z małżonką. Obraz malowany na jedwabiu, z muzeum rodzinnego.

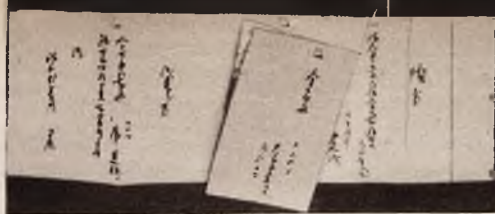
Zasady te nie ograniczają się jednakże wyłącznie do własnych pracowników koncernu. W rozległych parkach, w posiadłościach i gospodarstwach rolnych Mitsuich znalazło po wielkiem trzęsieniu ziemi w jesieni 1923 roku przytułek i opiekę tysiące poszkodowanych i wysiedlonych. Instytucje dobroczynne tego rodu — istnieje nawet dla nich odrębna centrala — są gęsto rozsiane po całym kraju i daleko poza jego granicami. Nigdy jednakże nie łączy się z taką, czy inną akcją imię jakiegoś członka rodu. Występują oni zawsze jako całość. A więc Mitsui budują szpitale, Mitsui przekazują pewną sumę na jakiś cel, Mitsui zalesiają Koreę, zakładają plantacje na Formozie i zbierają kauczuk na półwyspie malajskim.

Obowiązek i lojalność były temi dwiema zasadniczemi podporami, na których przewidujący przodek tego rodu, Hachirobei, wniósł podwaliny potęgi i bogactwa Mitsuich. Umarł on w roku 1692 jako pierwszy kupiec Japonji, który bodaj czy nie pierwszy na całym świecie wprowadził zasady naszego dzisiejszego wielkiego kapitalizmu do kupiectwa, nie cieszącego się wtedy jeszcze bynajmniej szacunkiem i zrozumieniem u ówczesnych instytucyj feudalnych. Jako 14-letni chłopak uczy się handlu jedwabiem; gdy parę lat później otworzył swój własny sklep w Tokio, — zwanem wtedy jeszcze Yedo, — wprowadził u siebie jako pierwszy zasadę płacenia gotówką, zrywając z zakorzenionym dotychczas systemem rocznych rachunków oraz zasadę stałych cen. On pierwszy

następnie wprowadza w roku 1660 operacje finansowe za pośrednictwem czeków, założywszy własny bank z pododdziałami w różnych częściach kraju. System czekowy, przyjęty początkowo bardzo niechętnie, okazał się wielkiem ułatwieniem i bardzo praktyczną nowością dla ówczesnego kupiectwa, gdyż czynił zbędnem ryzykowne przewożenie znacznych sum pieniężnych. W roku 1687 został Hachirobei mianowanym bankierem nadwornym, a tytuł ten i stanowisko zachowało się w rodzie aż do czasów dzisiejszych.

Dzięki olbrzymiej, przewidującej pracy tego przodka rodu Mitsuich, udało się jego 15 dzieciom w bardzo szybkiem tempie podnieść i rozszerzyć interesy rodziny. Aż dotąd nie istniał import do Japonji. Kupcom Nipponu zakazano prowadzenia bezpośrednich transakcyj handlowych z firmami zagranicznemi. Mitsui angażują więc przedewszystkiem obcych agentów w Nagasaki i za ich pośrednictwem skupują towary z Anglji, Indyj Wschodnich, z Chin itd. W ten sposób dostają się do Japonji wełna, bawełna, cukier, chemikalje i inne zagraniczne produkty, by się w krótkim czasie okazać nieodzownemi dostatecznie ważnemi, by przełamać tę sztuczną barjerę handlową i kulturalną, jaką wzniosła Japonja między sobą a resztą świata. I dziś stała się ona jako przetwórczyni obcych produktów jednym z najważniejszych warsztatów świata i jako odbiorcę surowców zalicza się Japonję do najlepszych klientów. Potężna flota umożliwia jej wygodny dostęp do wszystkich światowych źródeł surowców, wyzyskiwanych coraz słabiej przez zachodnie „warsztaty świata", w pierwszym rzędzie przez Anglję.

Na długo przedtem, nim na wschodzie wiedziano cośkolwiek o t. zw. „podwójnej buchalterji", prowadził Mitsui swe księgi



Zapiski w księdze handlowej koncernu Mitsui, pochodzące z XVIII wieku.



Złote i srebrne monety używane przed 300 laty przez Hachirobeja I.

handlowe według tego systemu. Świadczy o tem komplet ksiąg handlowych, zachowany bez luk od XVII wieku w muzeum rodzinnem.

Rodzina ta rządzi się na podstawie cesarskiego przywileju swojemi własnemi „domowemi" prawami i własną jurysdykcją. Kto temu prawu rodzinnemu nie chce się podporządkować, zostaje z rodu usuniętym i musi przybrać inne nazwisko. Na jego miejsce adoptuje się obcego, odpowiednio uzdolnionego człowieka, by obca krew zasiliła starą generację nowemi siłami. Prawa rodowe ostrzegają z wielkim naciskiem przed rozbieżnościami i niesnaskami między poszczególnymi członkami rodu, jak i przed zbyt wielkim jego rozrostem. „Wszelki nadmiar jest szkodliwym" głosi ich zasada i „zbyt wielka ekspansja powoduje niespokój i niezgodę". Dziś ród ten liczy 11 rodzin, których ojcowie tworzą radę rodową, posiadającą bardzo szerokie prerogatywy. Ona też rozstrzyga kwestję ożenku członków rodu i decyduje o dopuszczeniu obcych osób do poszczególnych rodzin. Rozwód jest zasadniczo niedopuszczalnym.

Spisane prawa i zasady tego rodu, sięgające czasów Hachirobeia, a przechowywane troskliwie w archiwum i przestrzegane skrupulatnie także dziś jeszcze, zalecają w pierwszym rzędzie rozumną oszczędność i wystrzeganie się wszelkiego zbytku. To też w myśl tych zasad życie prywatne Mitsuich różni się pod wieloma względami bardzo znacznie od tego, co zwykliśmy czytywać w gazetach o amerykańskich nababach finansowych i co — na podstawie popularnych powieści i filmów — wydaje się nam może kwintesencją bogactwa. Dom barona Mitsui w Tokio otacza duży park. Ocieniają go wysmukłe sosny, a nieduży staw z lotosami daje orzeźwiający chłód. Dom sam jest zbudowanym z drzewa i nie oznacza się bynajmniej szczególnym jakimś komfortem i bogactwem. Zato w głębi parku wznosi się wspaniały gmach, urządzony jaknajnowocześniej, lecz jest on przeznaczonym wyłącznie dla gości. Mitsui nie posiadają nawet jachtu prywatnego. Większość dnia spędzają w swych biurach i gabinetach pracy, w myśl ich wiekowej tradycji, która głosi, że praca człowieka powinna trwać przez całe jego życie i że nie należy — bez istotnie ważnych przyczyn — usuwać się od zajęć codziennych i żyć z renty.

Wiktor Micherdziński.

Kącik filatelistyczny

Z prawdziwą satysfakcją musimy przywitać ostatnio wydane znaczki polskie. Są one dowodem, że Ministerstwo Poczt dokłada wielkich starań, aby pod względem staranności wykonania dorównać najlepszym wzorom zagranicznym. Tak więc na miejsce ztérech najniższych wartości ukazały się obecnie nowe znaczki za 5, 10, 15 i 20 groszy, o nowych rysunkach i barwach, a przedewszystkiem ważne jest to, że wykonano jest stalorytem.

Tak więc już cała serja obiegowa drukowana jest najszlachetniejszym sposobem, jaki zna technika naszych czasów. Naturalnie, iż przy pewnym postępie jest bardzo prawdopodobnem, że wyłącznie stosowanym będzie wkrótce druk fotograficzny (siatkowy — „Rasterstichtiefdruck"), ale artyzm obrazu oddaje najlepiej miedzioryt lub staloryt.

Obok artystów, którzy byli dotychczas wykonawcami znaczków w ostatniem dziesięcioleciu (Kleczewski, Polak, Sowiński) pojawia się nowe nazwisko p. W. Borowskiego. Widzimy więc, że nie brak w Polsce ludzi, którzy potrafią stanąć na równi z takiemi sławami zagranicznemi, jak Austrjacy Lorbeer i Junk, Francuz Piel i inni.

Barwy znaczków: 5 gr. fioletowa, 10 gr. — zielona, 15 gr. — czerwono-brunatna, 20 gr. — pomarańczowa. Gwoli tradycji należało zachować dla znaczka za 15 gr., służącego na opłacenie pocztówki kolor zielony; dla filatelistyki jest to jednak obojętne.

Lubującym się w specjalizacji nieznacznych odmian podajemy dwie nowości: przedruki na znaczku dopłaty 25/1 zł. ukazały się ostatnio z zaokrąglonym prostokątem, a znaczek za 30 gr. (zamek w Mirze) ma w rysunku drugą basztę od lewej silnie, względnie słabo cieniowaną.

Po raz pierwszy ukazały się w Niemczech znaczki z Hitlerem. Wydano je w postaci bloku i rzeczywiście Niemcy pragną w ten sposób obrzydzić wszystkim zbieranie ich, pięknie zresztą wykonanych, znaczków. Któż bowiem może co roku dodawać w swym albumie całą kartkę na samo tylko egzemplarze dobroczynne? A tym razem blok ten zawiera tylko 4 zupełnie identyczne sztuki po 6 fen., lecz mimo to cena całości po uwzględnieniu dopłaty dobroczynnej i opłaty za wykonanie (1 fen.) wynosi razem 1 RM. Na dobitek zapowiedziano, że w dniu urodzin Führera co roku ukazywać się będzie podobny blok pamiątkowy. **W. H.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

W. PAN JÓZEF BRONOWICZ — U.S.A. TOLEDO. Dziękujemy za kartki i wiadomości — prosimy o dalsze. (Jeśli możliwe proszę nam podać kilka adresów poważniejszych zbieraczy).

WPAN SZELIGA — WILNO. Radzimy Panu zbierać znaczki tych wszystkich trzech państw. Zebranie absolutnego kompletu jest stosunkowo trudne nawet z owych krajów, które powstały po wojnie, a Finlandja posiada zresztą własne znaczki już od r. 1856 (niektóre są bardzo drogie). Estonja wydała dotychczas 129 znaczków, Finlandja 196, Łotwa 241 (bez odmian). Jest to razem tak mała suma, że wkrótce rozszerzy Pan napewno dalej zakres swego zbioru. Firm nie polecamy, natomiast radzimy zakupić przedewszystkiem katalog znaczków (Michla) — a także wyłączyć ze swego programu początkowo znaczki dobroczynne — pocztowo zbędne. Życzymy powodzenia.

WPAN Z. A. K. — SOSNOWIEC. Niestety niema dotąd takiego podręcznika, a nie jesteśmy w stanie, mając tak mało miejsca do dyspozycji, podać wszystkich wiadomości tak aktualnych, jak i fachowych, o które dopominają się czytelnicy.



Najnowsze znaczki polskie.





TAŃCZĄCY MOTYL

Szczęście powraca

ARTUR CZAJCZYŃSKI

NOWELA

Ciszę gabinetu czerwonego kapitana Juana Erano zakłócało rytmiczne tik-tak umieszczonego na półce zegara i szelest przewracanych stronnic świeżej gazety niemieckiej, która nie bezpośrednio wpływała tu prawie codziennie.

Kapitan przebiegał wzrokiem zadrukowane kolumny, zatrzymując się przy nagłówkach. Zainteresowała go w tej chwili kilkunastowierszowa notatka zatytułowana: „Rozstrzelanie śpiewaczki hiszpańskiej podejrzanej o szpiegostwo". Erano wlepił wzrok w te kilkanaście wierszy i sylabizował, notując tekst po hiszpańsku na kartce. Notatka brzmiała:

„W jedną z ostatnich nocy czerwoni żołnierze rozstrzelali w Madrycie śpiewaczkę Francescę Raricci, którą podejrzewano o uprawianie szpiegostwa na rzecz powstańców. Podobno Francesca Raricci przyjaźniła się z wybitnymi oficerami obu walczących obozów".

Po przeczytaniu tego, kapitan Erano nacisnął umieszczony przy biurku guzik dzwonka. Drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł zaufany wywiadowca.

— Niech się pan tu zbliży, Bolto.

Wywiadowca podszedł posłusznie ku siedzącemu kapitanowi.

— Czy znane jest panu nazwisko Francesci Raricci?

— Tak, słyszałem je kiedyś. To śpiewaczka.

— Co więcej pan wie o niej?

— Nic!

— To niemieckie pismo donosi, że została przez naszych rozstrzelana. Czy przypomina pan sobie coś o rozstrzelaniu kobiety o takiem nazwisku?

Wywiadowca zamyślił się i odparł:

— Nie!

— Mnie też o tem nic nie wiadomo.

— A może aresztowano kiedyś tę kobietę pod zarzutem uprawiania szpiegostwa?

— To nie jest wykluczone. Mnie jednak o tem nic nie wiadomo.

— Może pan odejść, Bolto.

Wywiadowca zniknął za drzwiami.

Kapitan Erano ujął słuchawkę telefonu i przez dłuższą chwilę rozmawiał z kimś.

— ...tak, uważam, że należałoby się zainteresować tą osobą... Zaraz wydam polecenie odszukania jej. Podejmę śledztwo... Może ona jest naprawdę szpiegiem... Już nieraz się zdarzyło, że gazeta wykryła prędzej przestępcę, zanim zdołały wykryć władze...

Zgrzyt zawieszanej słuchawki. Rozmowa była skończona. Wskazujący palec kapitana spoczął znowu na guziczku dzwonka. Drzwi cicho skrzypnęły i ukazała się w nich postać Bolta. Stanął przed biurkiem kapitana i oczekiwał rozkazu.

— Poszukać śpiewaczkę Francescę Raricci. Jeśli jej tu nie znajdziecie, to szukajcie w innych miejscowościach. W dwudziestu czterech godzinach chcę ją widzieć tutaj w gabinecie.

Wywiadowca złożył wojskowy ukłon i wyszedł z gabinetu kapitana.

Erano, zostawszy sam, chodził dużemi krokami po swym gabinecie. Myśli jego plątały się około osoby śpiewaczki. Znał Francesce Raricci dobrze. Przed dwoma laty widział się z nią po raz ostatni. Kochał wtedy Francescę, a ona zdawało się była mu wzajemną. Aż raz... tak... było to w Walencji, dokąd wyjechał z nią na czas kilkutygodniowego urlopu. Był wówczas szczęśliwym człowiekiem. Zdawało się mu, że cały świat należał do niego... i oto szczęście jego prysło nagle jak mydlana bańka. Przekonał się, że jest oszukiwany, że piękna Francesca kocha kogo innego. Znalazł przecież ten kompromitujący list w jej torebce, którą dyskretnie zrewidował. Był pisany przez nią do jakiegoś... Jak on się tylko nazywał? ...Beniamino Tontino.,, tak,.. W liście tym Francesca wspominała o nim, kapitanie Juanie Erano, nazywając go wstrętnym nudziarzem i tłumacząc utrzymywanie z nim kontaktu tylko dla pewnych ważnych względów, które mogą jej później przynieść kolosalny majątek. On, Erano, włożył wówczas ten list zpowrotem do torebki Francesci, która nie przypuszczała ani na chwilę, że jest zdemaskowana. Potem wyjechał Erano nagle bez pożegnania się z Francescą i odtąd kontakt z nią był przerwany. Pisała do niego kilka listów, na które jej nie odpowiedział. Nie czytał ich wcale. Nawet nie otwierał kopert tych listów. Znienawidził tę kobietę, a za każdym razem, gdy tylko usłyszał jej nazwisko, przygryzał wargi i zaciskał pięści. Nie zdradzał się z tem nikomu. Z jakąż rozkoszą patrzałby teraz na aresztowaną Francescę, którą niegdyś tak ubóstwiał, a teraz nienawidzi. Wobec zasięgniętych informacyj, nie ulegało wątpliwości, że notatka o rozstrzelaniu Francesci jest plotką, ale to nie uwalniało jej od podejrzeń, że jest szpiegiem. On, kapitan Erano, miał teraz możność nowego zetknięcia się z Francescą, jednak w jakże innych okolicznościach.

Erano oczekiwał niecierpliwie raportu o wyniku poszukiwań za śpiewaczką.

Upłynęło 17 godzin od chwili wydania rozkazu aresztowania Francesci Raricci, gdy do gabinetu kapitana wprowadzono aresztantkę. Erana nie było w tej chwili w biurze. Przybył po upływie kwadransa. Wywiadowca Bolto zdał krótki raport kapitanowi, wskazując w stronę siedzącej na krześle śpiewaczki i składając skonfiskowaną walizę z korespondencją aresztantki.

Kapitan Erano odprawił agenta. Twarz jego przybrała surowy wyraz.

— A więc pani jest Francescą Raricci, czy tak?

— Juan... Juan... to ty kazałeś mnie aresztować? — odezwała się śpiewaczka, podnosząc się z krzesła.

— Zabraniam pani odzywać się do mnie po imieniu. Proszę odpowiadać na moje pytania!

Wyciągnięte w stronę kapitana ręce Francesci opadły. Ona sama blada i trwożna opadła zpowrotem na krzesło.

— Niech pan pyta — odparła drżącym głosem.

Jakoś dziwnie czuł się w tej chwili Erano... Miał przed sobą przecież ją... jedyną kobietę, za którą kiedyś oddałby życie.

I znowu przygryzł dolną wargę swych ust, przygryzł tak mocno, że trysnęła z niej krew. Poczuwszy w ustach słony jej smak, kapitan dobył z kieszeni chusteczki i przytknął ją do ust. Nie śmiał patrzeć w piękne oczy swej aresztantki i w miarę możności oczy jego unikały spotkania z jej wzrokiem.

— Niech pan pyta — powtórzyła głośniej Francesca, patrząc na niego.

Ale kapitan nie postawił teraz pytania. Odchrząknął i pochylił się nad otwartą walizą śpiewaczki. Wysypał z niej na biurko masę listów.

— Zabrano mi prywatną korespondencję... jakiem prawem?... To oburzające! — odezwała się Francesca.

Nie odpowiadał, tylko czytał nazwiska nadawców listów. Do rąk wpadła mu w tej chwili paczka, zawiązana czerwoną wstążeczką. To były listy od niego... tak... od niego. Odłożył tę wiązkę na bok i szukał dalej...

— To skandal, aby interesować się mojemi prywatnemi sprawami! — zawołała Francesca.

Kapitan Erano w dalszym ciągu milczał. Odłożył znowu dwa listy na bok. Resztę włożył zpowrotem do walizki.

— Wiadomo nam, że pani utrzymuje kontakt z dowództwem powstańców, że dostarcza pani naszym przeciwnikom pewnych informacyj, poprostu że jest pani szpiegiem! —

rzucił kapitan podniesionym głosem, wlepiając przez kilka sekund wzrok swój w oczy Francesci.

Zdawało się, że Erano chciał teraz wyczytać z twarzy Francesci to, o co ją oskarżano.

— Radziłbym pani przyznać się do winy i opowiedzieć mi szczegółowo o wszystkiem, co dotyczy tej sprawy. Tylko szczere przyznanie się do winy i wymienienie nazwisk współpracowników pani, może przyczynić się do złagodzenia kary, jaka pani grozi... to jest kary śmierci.

To mówiąc kapitan Erano raz jeszcze spojrzał badawczo w oczy Francesci i oczekiwał odpowiedzi nietyle z ust, co z oczu. Tak, z oczu! Umiał czytać z czyichś oczu. Tym razem spotkało go jednak rozczarowanie. Miast spodziewanej trwogi i załamania się, oczy badanej nabrały innego wyrazu, a Francesca parsknęła naraz niepohamowanym śmiechem.

Kapitan zrobił beznadziejną minę.

— Proszę się nie śmiać. Sprawa jest zbyt poważna! — zawołał.

Ale Francesca śmiała się jeszcze. Uspokoiwszy się, odparła:

— A to dopiero mi się udało! Wiem już o co chodzi. Pan czytał zapewne w prasie zagranicznej notatkę o rozstrzelaniu mnie. Notatkę, która jest niczem innem, jak trickiem reklamowym. Zredagował ją mój impresario, mówiąc, że to zrobi efekt, że gdy znajdę się zagranicą, ukażą się w prasie nowe wzmianki o wydarciu mnie z rąk czerwonych i wtedy stanę się bardziej słynną. Jeśli wy w to panowie uwierzyliście, to jest to najlepszym dowodem skuteczności tej reklamy — wyjaśniała Francesca.

Erano był naprawdę zaskoczony. Mimo to starał się nadal wyglądać jak najsurowiej.

— Mimo takiego wyjaśnienia nie będę mógł pani puścić na wolność — zadecydował.

— Jakto, dlaczego nie?

— Bo muszę kontynuować dalsze dochodzenia w sprawie pani. A teraz niech mi pani wyjaśni, kim jest Beniamino Tontino, z którym się pani od kilku lat przyjaźni? — zapytał kapitan, siląc się na utrzymanie równowagi.

Francesca posmutniała w tej chwili.

— Beniamino Tontino wcale nie istniał. Jeśli chodzi o to, skąd się wzięło to imię i nazwisko, to muszę wspomnieć o mojej byłej przyjaciółce Juanicie Roto. Juanita była bardzo zazdrosną dziewczyną. Zazdrościła mi pewnego młodego oficera... pan się domyśli, kapitanie o kogo chodzi. Oficer ten znał ją również może nie bliżej, ale w każdym razie widywał mnie nieraz w jej towarzystwie. Nie wiedziałam, że jest ona również bardzo podstępna i, aby odbić mi narzeczonego, posunie się do najbrudniejszych sposobów. Pewnego razu wybrała się Juanita z nami do Walencji. Umiała po mistrzowsku naśladować moje pismo i wymyślała listy miłosne rzekomo przeze mnie pisane do nieistniejącego Beniamina Tontina. Sporządziła dwa takie listy, które starała się niepostrzeżenie podsunąć mojemu narzeczonemu. Była pewną, że gdy oficer ten przeczyta jeden z listów, wówczas porzuci mnie i zwróci większą uwagę na nią. Udało mi się w obu wypadkach sparaliżować niecne posunięcia Juanity, z którą zerwałam na zawsze. Pewnego wieczoru jeden z podrobionych listów miałam w torebce i zamierzałam pokazać go memu narzeczonemu i opowiedzieć mu o brudnych podstępach Juanity. Ale oficer ten odjechał i zerwał ze mną na zawsze. Na wszelkie moje listy nie odpowiedział...

Złożywszy to wyjaśnienie, Francesca Raricci wybuchnęła płaczem.

Kapitan Erano spojrzał na nią, zbliżył się ku niej i klęknąwszy zaczął obsypywać jej ręce pocałunkami.

— Oficer ten nie zerwał na zawsze z tobą, najdroższa Francesco. Przebacz mi, że uwierzyłem sfałszowanemu listowi. Teraz wierzę ci, że jesteś niewinną. Kocham cię Francesco bardziej, niż kiedykolwiek! — spowiadał się kapitan swej ukochanej.

— Więc przebaczam ci, Juanie! — odparła Francesca, łkając.

Głaskała jego bujną czyprynę i tuliła głowę kapitana do swych piersi.

Trwali tak przez chwilę przytuleni do siebie i najszczęśliwsi. Dopiero głośny odgłos dzwonka telefonu wyrwał ich z słodkiego wzruszenia. Kapitan ujął słuchawkę telefonu. i mówił do kogoś:

— Tak, wyjaśniło się wszystko. Notatka o rozstrzelaniu Francesci Raricci, to pomysłowy trick reklamowy naszej sympatycznej śpiewaczki — powiedziawszy to, kapitan z uśmiechem odłożył słuchawkę.

Kapitan Juan Erano spełnił życzenie Francesci i wystąpił z wojska. Nie przyszło mu to łatwo, ale w końcu uzyskał zwolnienie. Szczęśliwa para wyjechała daleko do pewnej maleńkiej miejscowości, do której nie dochodzą odgłosy terkotu karabinów maszynowych i ryk armat.

ZŁOTA RÓŻA w KWIRYNALE



Królowa Anna Jagiellonka odznaczona przez papieża Złotą Różą.

Gdy w roku 1896 ówczesny następca tronu włoskiego ks. Wiktor Emanuel zaślubił Helenę ks. Czarnogórską, córkę ks. Mikołaja, buńczucznego władcy małego państewka otoczonego górami, mówiono o tem małżeństwie jako o królewskiej idylli niekierowanej bynajmniej względami politycznemi, czy dynastycznemi. Piękna, czarnowłosa, smukła, jak topola księżna Helena nader prędko umiała się dostosować do nowych warunków życia i stać się Włoszką całą duszą. Będąc wzorową żoną i matką wkrótce zyskała nietylko sympatje włoskiego domu królewskiego, ale też całego narodu. Trzymająca się dotychczas swojego małego kraiku rodzina Petrowiczów-Njegoszów, która w 1711 w osobie Daniła otrzymała najwyższą godność duchowną władyki, a w r. 1852 zyskała dla Czarnogóry uznanie suwerenności, wystąpiła w końcu XIX i w początkach XX wieku na szerszą widownię dzięki wysoce przewidującej polityce późniejszego pierwszego króla Czarnogóry, Mikołaja I. Zwłaszcza z Rosją zadzierżgnęła Czarnogóra bliższe stosunki dzięki małżeństwu dwóch córek króla Nikity, a sióstr królowej Heleny, tj. Milicy, żony wielkiego księcia Piotra Mikołajewicza, oraz ks. Anastazji, żony 2-voto w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, generalissimusa rosyjskiego podczas wojny światowej. Oparcie się o Rosję było rzeczą zrozumiałą, gdyż, jak wiadomo, protegowała ona na Bałkanach państwa słowiańskie, chcąc tą drogą dojść do upragnionego celu — zdobycia Konstantynopola.



Królowa Eleonora, małżonka króla Michała Korybuta-Wiśniowieckiego.

Od chwili objęcia tronu przez Wiktora

Emanuela III, królowa Helena coraz bardziej współdziała w wielkiem zadaniu skonsolidowania do niedawna jeszcze rozdartych na liczne państwa Włoch i w akcji dobroczynnej, która stawia młodej królowej duże, ale wdzięczne zadania. Nie prędko zapomną Włosi o licznych dowodach tej szlachetnej pracy, nie zapomną o akcji ratowniczej prowadzonej przez królową po katastrofalnem trzęsieniu ziemi w Messynie, ani też o jej pracy szpitalniczej podczas wojny. Rozumiejąc w pełni, jak wielką doniosłość dla dziejów swego narodu posiada nawiązanie stosunków politycznych ze Stolicą Apostolską, przyczynia się ona również do powstania paktu laterańskiego i pogodzenia „białego" z „czarnym" Rzymem. Wszystkie te zasługi zarówno rodzinne, jak o charakterze państwowym, doczekały się ostatnio najwyższego uznania papieża, które objawiło się w nadaniu Złotej Róży.

Wśród licznych wiekowych tradycyj Stolicy Apostolskiej, Złota Róża posiada swoje uprzywilejowane miejsce. Początek tego odznaczenia, sięgającego swą symbolistyką najdawniejszych czasów, można znaleźć już w XII wieku, gdyż Aleksander III nadaje Złotą Różę francuskiemu królowi Ludwikowi VII, a w r. 1177 weneckiemu doży. Po soborze w Tours, Urban II nadaje taką różę hr. d'Angers, Fulkowi. Zczasem, gdy powstają inne odznaczenia dla mężczyzn, Złota Róża zostaje nadawana jedynie kobietom, które zasłużyły się Kościołowi i ludzkości. Między odznaczonemi więc znajdujemy liczne królowe, żony dożów i potężne monarchinie. Jeżeli chodzi o królewski dom sabaudzki, to zostaje on kilkakrotnie obdarowany tym dowodem najwyższego uznania: Papież Leon X, a następnie Klemens VII nadają ją dwukrotnie ks. sabaudzkiemu Karolowi III, papież Klemens XI odznacza nią w r. 1701 Marję Ludwikę sabaudzką z okazji jej ślubu z wnukiem Ludwika XIV, Filipem V, królem hiszpańskim, w r. 1825 Leon XII przyznaje to odznaczenie wysoce pobożnej wdowie po królu Wiktorze Emanuelu, Marji Teresie, podczas gdy znajduje się u grobu Apostołów w rzymskiej bazylice, udawszy się tam z pielgrzymką, z okazji „Anno Santo". Później Gregorz VI przesyła Złotą Różę jej córce Annie, żonie cesarza austrjackiego. Ostatni raz przed zjednoczeniem Włoch dom sabaudzki otrzymuje ten cenny dar od papieża Piusa X w r. 1847 dla królowej Marji Adelajdy. Obecne nadanie Złotej Róży z okazji 40-lecia małżeństwa pary królewskiej będzie pierwszem od chwili, kiedy Wiktor Emanuel II, dziadek obecnego króla, zjednoczył pod swem berłem całą Italję. Dar papieski ma również symboliczne znaczenie jako przypieczętowanie zawartej paktem laterańskim zgody między Państwem Włoskiem a Kościołem.



Helena sabaudzka, królowa włoska i cesarzowa Abisynji, która otrzymała jako pierwsza wśród królowych Włoch — Złotą Różę papieską.



Na lewo: Królowa Anna Austrjaczka, pierwsza żona Zygmunta III

Licznych nadań Złotej Róży nie mogło zabraknąć oczywiście w historji polskiej, która na tylu płaszczyznach i w tylu epokach stykała się z zagadnieniami wiary katolickiej, broniąc jej na Wschodzie. W ciągu naszych dziejów, przeszło dziesięć królowych i królów otrzymało Złotą Różę, a m. in. królowa Anna Jagiellonka, „Jagellonidarum soboles ultima", małżonka Stefana Batorego, Anna austrjaczka, małżonka Zygmunta III, Marja Kazimiera, małżonka bohatera zpod Wiednia Jana III, królowa Eleonora austrjaczka, małżonka króla Michała. Ale również królom naszym nadaje Stolica Apostolska Złotą Różę: w r. 1505 Juljusz II przesyła ją królowi Aleksandrowi Jagiellończykowi przez posłów biskupa płockiego, Erazma, oraz Wiktoryna Sienieńskiego, poczem król darowuje ją skarbcowi katedralnemu na Wawelu, w którym pozostaje cenna pamiątka do r. 1702. Podczas zawieruchy wojennej, szalejącej wtedy nad Polską, Złota Róża ginie ze skarbca zrabowana przez Szwedów. Obecnie znajdujący się w skarbcu wawelskim egzemplarz Złotej Róży pochodzi z połowy XVIII wieku: został on przesłany przez Klemensa XII w r. 1736 Marji Józefie, żonie Augusta III. W 21 lat później ofiaruje ona różę kościołowi katedralnemu na Wawelu, dopiero jednak wnuk królowej, elektor Fryderyk August, poleca swojemu spowiednikowi, Janowi Schneiderowi, oddać tę różę do katedry w r. 1801. Wtedy to zostaje ona szczegółowo opisana, dając nam wyobraże-

Dokończenie na str. 31-ej.





Oto dwa egzemplarze Złotej Róży: od lewej — z skarbca katedralnego na Wawelu, oraz egzemplarz ofiarowany królowej Helenie



Od lewej:
Mól odzieżowy i jego gąsienica.

SKRZYDLATY WRÓG MIESZKANIA

Wielki uczony francuski Réaumur, który żył przed 200 laty, a znany jest zpowodu wynalezienia termometru, był nietylko wielkim fizykiem, ale też znakomitym entomologiem. Interesowały go owady, które w swojem dziele pt. „Mémoires pour servir à l'histoire des Insectes" szczegółowo opisał. Jeden z rozdziałów tego dzieła poświęca on biologji moli. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie wymienia on jednak naszego powszechnie znanego mola odzieżowego (Tineola biselliela Hum), chociaż skądinąd wiadomo zpewnością, że mól ten w Europie środkowej istniał wtedy i został nawet przedstawiony przez norymberskiego malarza Rösel v. Rosenhof, w jego „Insektenblustigungen". Dr. Adolf Herfs, wnioskuje z tego, że wówczas mól odzieżowy nie był jeszcze taką niebezpieczną i rozpowszechnioną plagą gospodarstw domowych jak dzisiaj. Raczej mól futrzany (Tinea pellionella L) szerzył wtedy spustoszenia w materjałach wełnianych i futrach. Jest zresztą podobny do mola odzieżowego, tylko posiada inną budowę odnóży i ciemniejsze zabarwienie.

Pani domu nazywa zresztą wszystkie bez wyjątku szkodniki niszczące materjały wełniane molami, nie wdając się w subtelne rozróżnianie gatunków. Z nastaniem wiosny kłopot z molami powstaje niemal w każdem gospodarstwie. Każda pani domu chętnie się też czegoś dowie o tych szkodnikach i o sposobach walki z nimi. Trudno, wiosna ma także swoje niemiłe strony! Przypomina się tu skecz, który w swoim czasie obiegł wszystkie teatrzyki rewjowe w Polsce. Mamy na myśli rozmowę optymisty z pesymistą. Dla jednego wiosna to okres romantyzmu, budzenia się przyrody ze snu zimowego do nowego życia, okres rozkwitania pąków i śpiewu ptaków, a dla drugiego, to tylko najbardziej niebezpieczna pora roku, czas szerzenia się rozmaitych chorób i ożywionej działalności rozmaitych pasorzytów i szkodników roślinnych i zwierzęcych. Chociaż nie jesteśmy pesymistami, a może właśnie dlatego, możemy się zastanowić nad sprawą „molową" w gospodarstwie domowem.

Otóż, jak się już rzekło, obok dziś najbardziej rozpowszechnionego mola odzieżowego istnieje daleko groźniejszy mól futrzany. Prócz tego jednak od około 8 lat pojawiły się jako nowe szkodniki tkanin wełnianych w całej Europie jakieś chrząszczyki, np. chrząszczyk futrzany, który znowu jest „specjalistą" od dywanów. Zwierzątka te były znane już dawniej w muzeach, gdzie niejedną szkodę wyrządziły, ale jakoś nie kwapiły się do gospodarstw domowych. Teraz jednak upodobały sobie domy prywatne, a także i magazyny włókiennicze. Zastanawiano się już nad tem, co spowodowało zmianę upodobań i zwyczajów życiowych tych owadów, zarówno moli, jak i chrząszczyków. Otóż według dra Herfsa przyrodnicy doszli wkońcu do wniosku, że nie owady się zmieniły, tylko „zawiniły" tu nasze dzisiejsze mieszkania. Dawniej w mieszkaniach było przedewszystkiem znacznie chłodniej i ciemniej. Było to wprawdzie bardzo „romantyczne", ale mieszkanie takie ze swojemi licznemi przyciemnionemi zakamarkami tworzyło niezwykle dogodne warunki życia dla dawnego mola futrzanego, który „przepada" za miejscami wilgotnemi i ciemnemi. W nowszych mieszkaniach, gdzie jest dużo światła i które przeważnie są znacznie lepiej opalane i dlatego bardziej suche, mól futrzany nie czuje się dobrze, natomiast są to idealne warunki dla mola odzieżowego, który dzisiaj jest nieodłącznym towarzyszem i współlokatorem człowieka cywilizowanego, chociaż Réaumur go zupełnie zbagatelizował. Taksamo wyjątkowo ciepłe zimy w ostatnich kilku latach przyczyniły się do rozpowszechnienia się chrząszczyków pasorzytniczych, gdyż taka łagodna zima nie przerywa wcale rozwoju tych owadów, które w wielkich ilościach dostają się do mieszkań i chowają się głównie w szparach posadzek. Z tych szpar wychodzą gąsieniczki i napadają przedewszystkiem na dywany, przegryzając szczególnie węzły. Początkowo tego nie widać, ale gdy się czyści dywany szczotkami lub odkurzaczem, włosy wypadają całemi pękami.

Tak więc zmiana „klimatu" naszych mieszkań i łagodniejsze zimy zadecydowały o zmianie formacji „moli" (nazwijmy je tak ogólnie), atakujących nasze tkaniny wełniane i futra. Wszystkie one a raczej ich gąsieniczki zjadają włókna zwierzęce o substancji rogowej (z keratyny).

Ale jak z nimi walczyć? Owszem walczą z nimi gospodynie domu już oddawna. Jest cały arsenał takich środków do walki z molami i prawie każda pani domu ma swój ulubiony środek, o którym twierdzi, że jest niezawodny. W jej przekonaniu tylko taki rozmaryn, lub lawenda, lub wreszcie inny mielony pieprz, pomaga jedynie i wyłącznie. Niektóre hodują specjalne rośliny, które mają szkodzić molom. Cóż, kiedy niestety dany środek pomaga tylko w danem gospodarstwie, to jest tylko tam, gdzie się w niego wierzy! Objektywnie biorąc są te środki niestety bezskuteczne. Przeciwnie, są raczej szkodliwe, bo dzięki nim nie stosuje się innych skutecznych środków i umożliwia się rozszerzenie się moli na inne przedmity i na inne mieszkania.

Nawet naftalina ma dużo przeciwników, od czasu gdy uczonemu Berthelotowi udało się wyhodować mole w naftalinie! Co więcej czyszczenie szczotkami tkanin lub futer „zamolonych" może się stać nawet szkodliwe, gdyż jajeczka i gąsieniczki przyczepiając się do włósia szczotki, mogą pozostać niezauważone i „zarazić" zdrowe jeszcze tkaniny.

Najskuteczniejszym niewątpliwie środkiem przeciw molom jest ich „zagazowanie". Tak, poprostu zwykła walka gazowa! Najczęściej używanym gazem jest kwas pruski, czyli cjanowodór, ten sam, który się wywiązuje przy zażywaniu cjankali. Straszna trucizna, ale skuteczna. Oczywiście zabieg taki musi być wykonany tylko przez upoważnionych fachowców. Stosuje się go przeważnie, gdy idzie o czyszczenie z owadów całych budynków mieszkalnych.

Gaz ten tępi nietylko owady ale i jajka oraz gąsieniczki. Prócz tego gazu można użyć jeszcze innych. Jeżeli chodzi jednak o gospodarstwa domowe, to nawet najlepsze środki, jeżeli są nieumiejętnie stosowane, mogą narobić więcej szkody niż pożytku. Chodzi o to, by środki te stosować w dostatecznej ilości i by mole zniszczyć, a nie tylko je „poirytować", zmuszając do ucieczki i szukania sobie innego pola działania!

Dlatego trafne jest przechowywanie futer lub tkanin wełnianych w skrzyniach szczelnie zamkniętych, bez żadnych szpar, oklejonych np. gazetami. Do tych skrzyń lub szaf wkłada się dostateczną ilość środka antymolowego, którego gazy są zabójcze dla moli. A więc np. preparaty z paradychlorbenzolu, które pod różnemi nazwami pojawiają się w handlu. Można też użyć tymolu lub kamfory. Niezwykle skutecznym środkiem jest t. zw. dwusiarczek węgla. Umieszcza się na talerzyku 50 cm sześć. tego płynu, a to wystarcza na 1 m sześć. objętości szafy lub skrzyni szczelnie zamkniętej. Środek jest niestety łatwo palny i ma przykry zapach, jest poza tem trujący.



Groźnym nieprzyjacielem towarów przesyłanych w workach morzem, jest larwa „plodia interpunctella Hub", która, jak widzimy na naszem zdjęciu, pokrywa je gęstą pajęczyną.

Przy tępieniu moli należy zwracać szczególną uwagę na gniazda wróbli, znajdujące się w pobliżu, gdyż w gniazdach tych trzyma się najwięcej moli.

O wiele skuteczniejszą i racjonalniejszą jest metoda zwalczania moli w ten sposób, że tkaniny impregnuje się odrazu przy fabrykacji preparatami antymolowemi. Łączą się one z wełną, podobnie jak barwniki i nie dają się z niej usunąć, i wełna taka staje się poprostu niestrawna dla moli, które wobec tego nie atakują jej. Ochrona ta trwa tak długo, jak długo trwa sama tkanina. A poza tem środek ten jest bezwonny w odróżnieniu od niemal wszystkich innych środków antymolowych.

Inż. J. A.



Na prawo:
Larwa mola futrzanego.

Poniżej:
Mól futrzany (Attagenus pellio L.).

ŚWIAT ZA KRATAMI
Meczet w Kairze. — Fot. Dr. Wolff, Wiedeń



Krypta z Grobami Zasłużonych na Skałce.

Przerwana pieśń...

Tymoszówka — kolebka rodzinna twórcy „Harnasiów" — była prawdziwą wyspą polskości na Ukrainie; jedną z tych, na których po rozbiorach i powstaniach kiełkowały rozrzucone szeroko po rubieżach dawnej Rzeczypospolitej ziarna umiłowania i przywiązania do spraw ojczystych.

Tam, pod granatowem sklepieniem nieba, wśród łanów rudej pszenicy, kołyszącej się śpiewnie w takt łagodnej fali wiatru, marszczącego lekko jej powierzchnię, rozsiadł się dwór szlachecki, którego bielone ściany i jasny dach skryły się w cieniu lip i starych drzew orzechowych. Zamieszkiwała go rodzina Korwin-Szymanowskich, z dawna na tych ziemiach osiadła i znamienitych posiadająca przodków, z których niejeden dobrze się zasłużył sprawom Rzeczypospolitej, że wymienimy tylko Macieja Szymanowskiego, kasztelana rawskiego i posła do Rzymu króla Władysława IV-go, Józefa Szymanowskiego, poetę i szambelana dworu Stanisława Augusta i imiennika ostatniego, generała wojsk napoleońskich.

Mieszkańców dworu tymoszowieckiego z doby przedwojennej — atmosferę, jaką przepojone było jego ówczesne życie, poznajemy z przepięknych, a jak dziś cennych impresyj Zofji Szymanowskiej, ujętych w *„Opowieść o naszym domu"*. W tym zbiorze barwnych obrazów, odmalowanych krwią serdeczną gorąco kochającej córki i siostry, odnajdujemy sylwetkę tego, którego imię zapisała historja muzyki współczesnej złotemi zgłoskami — sylwetkę Karola Szymanowskiego. Jak subtelna, wizyjna postać przewija się cień „wielkiego Katota" w wspomnieniach jego siostry: od pierwszych lat dzieciństwa, aż po chwile rozstania z Tymoszówką.

„Był pięknem dzieckiem, silnem i zdrowem, o wielkich błękitnych oczach. Był bardzo żywy i dreptał nieumęczenie po domu, jak myszka. Grymasów miał niewiele i łagodny był bardzo. Rodziców i rodzeństwo kochał ogromnie, zawsze przejęty ich radością lub troskami. I los właśnie jemu kazał w dzieciństwie cierpieć najbardziej. Pewnego dnia, biegając z innemi dziećmi po ogrodzie, upadł Katoto na ziemię i stłukł sobie mocno kolano. Wówczas to zaczęła się jego długa, bolesna choroba, która ostatecznie zakończyła się operacją, zrobioną świetnie przez sławnego chirurga z Moskwy, Sklefasowskiego. Po tej operacji Katoto wyzdrowiał zupełnie. Przez kilka lat cierpiał jednak okrutnie (ach tak, pamiętam małe, wzruszające kule... widziałam je kiedyś na strychu w Tymo-

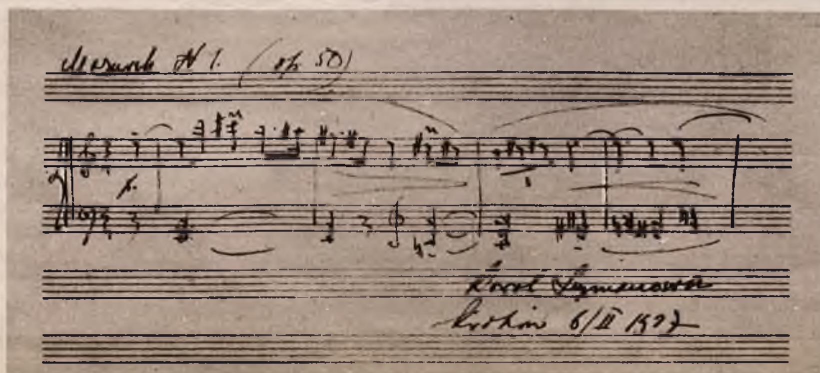


Poniżej w kole: Klasztor OO. Paulinów na Skałce.

Na prawo: Jeden z ostatnich portretów K. Szymanowskiego.

Poniżej: Fragment Mazurka nr. 1 z op. 50 Karola Szymanowskiego.

Rękopis ze zbiorów Tadeusza Meyerholda — Katowice.



szówce). Chora nóżka bolała go czasem nieznośnie. I wówczas leżał w bezsenną noc bez ruchu i zaciskał zęby, aby jękiem nie obudzić mamy, która z nim spała — a poduszka jego była mokra od łez. W ciągu tych kilku lat cierpiącej samotności Katoto przeżył zapewne i przemyślał wiele. I może wówczas, w najgłębszem skupieniu sił duchowych, w cierpliwem, nad wiek wytrwałem opanowaniu, przyszło na niego objawienie. Przyszła nieunikniona konieczność tworzenia, która zawładnęła nim wszechwładnie i skazała na wieczną twórczą samotność".

Ta duchowa krystalizacja małego dziecka, o której wspomina siostra Karola Szymanowskiego, była jednak możliwą tylko w atmosferze, wywołanej ustawicznem obcowaniem z silną, artystyczną indywidualnością ojca, o którym dowiadujemy się, że „oddawał się w wolnych chwilach muzyce, do której miał wielki talent i zamiłowanie. Grał doskonale i uznawał tylko muzykę najlepszą. Grywał z dziećmi na cztery ręce Beethovena i Mozarta, dawał im najtrafniejsze wskazówki i od dzieciństwa wyrabiał w nich smak muzyczny. To też zła muzyka nie miała dostępu do tymoszowieckiego domu. Szedł zawsze z postępem i trzymał rękę na pulsie życia. Sprowadzał najnowsze książki i pisma polskie i zagraniczne, które czytano i o których rozprawiano zawzięcie. Z dzieciństwa swego mający gorące wspomnienia z powstania, był wielkim patrjotą. Do bliskich przyjaciół jego należał, między innymi, kapitan Żeligowski, późniejszy generał, bohaterski zdobywca Wilna i minister spraw wojskowych w wolnej Polsce. Wiele czasu poświęcał wychowaniu i kształceniu dzieci. Pod jego opieką i kierownictwem nauka przychodziła z łatwością. Na każde dziecinne zapytanie odpowiadał z namysłem i powagą, przyczem rzecz każdą ujmował głęboko i rozstrzygał najrozumniej".

Pod takim to wpływem kształtował się charakter i umysł młodego Karola Szymanowskiego. O jego pierwszych studjach muzycznych wiemy niewiele. „Opowieść" wspomina o szkole kuzynów Neuhausów w Elizawetgradzie, w której lekcje gry na fortepianie pobierała dosłownie cała rodzina. Z niej jeden tylko Karol mógł się już za młodu poszczycić twórczym talentem muzycznym, tak wspaniale stawiającym pierwsze kroki w „Preludjach", skomponowanych w latach 1899—1900, a więc wtedy, gdy autor ich liczył niespełna 18 lat. Tu nie od rzeczy będzie wspomnieć, że data urodzin wielkiego muzyka nie została dotąd przez muzykologów uzgodniona. Dziwny ten napozór fakt tłumaczy się tem, że Szymanowski niechętnie mówił o tej dacie, raczej ją ukrywając wskutek zakorzenionego z lat młodzieńczych zabobonu ukraińskiego. Dlatego w kilku dotąd drukowanych szkicach monograficznych spotykamy się raz z r. 1882 („Polska Pieśń Artystyczna" — dr. S. Barbag), to znowu z r. 1883 („Dzieje Symfonji w Polsce" — prof. dr. J. Reiss). Najbardziej szczegółową datę, bo 21 wrzesień 1883, podaje w swej pracy o Karolu Szymanowskim („Rys dotychczasowej twórczości 1927") prof. dr. Zdzisław Jachimecki, który pierwszy podjął trud naukowej analizy twórczości wielkiego kompozytora, a uczynił to wówczas, gdy dzieła Szymanowskiego zapoznawane były przez wszystkich. Jemu więc, jako posiadającemu z muzykologów najwięcej styczności z osobą twórcy „Harnasiów", oddać należy w tej kwestji pierwszeństwo.

Jakkolwiek było, Szymanowski, już w zaraniu swego życia rzucił na papier nutowy szereg kompozycyj, które wprawdzie tylko nielicznych wtedy zainteresowały, ale które dziś — na przestrzeni z górą lat trzydziestu, uchodzić muszą za wyraźne zwiastuny nowej epoki w historji muzyki polskiej. Wydane w r. 1905 „Preludja" jako kompozycje samouka, który dopiero od r. 1902 zaczął się uczyć harmonji u Marka Zawirskiego w Warszawie, zwróciły na niego uwagę czołowych młodych muzyków polskich, którzy pod wodzą Mieczysława Karłowicza zakładali swój „obóz" pod nazwą „Młoda Polska w Muzyce". Szymanowski wszedł do tego grona jako jeden z jego założycieli, razem z M. Karłowiczem, L. Różyckim, G. Fitelbergiem i A. Szeluto. Od tej chwili datuje się żywy kontakt kompozytora z warszawskim i, co zatem idzie, ogólnopolskim światem muzycznym. W ciągłej dążności do pogłębiania swej wiedzy przenosi się Szymanowski pod opiekuńcze skrzydła Zygmunta Noskowskiego (jesień 1903), najznakomitszego wówczas polifonisty polskiego. Niedługo jednak, bo już z wiosną 1904 porzuca warsztat naukowy mistrza i postanawia na własną rękę szukać drogi do swoich ideałów artystycznych. Na to postanowienie wpłynęła nurtująca w Szymanowskim w ciągu tych kilku zaledwie miesięcy świadomość, że ramy, jakie starał się mu narzucić kierunek Noskowskiego w opracowywanych wówczas kompozycjach (Fuga cis-moll, Warjacje b-moll op. 3, Sonata c-moll op. 8, Sonata d-moll op. 9, Warjacje h-moll op. 10) mogą tylko jego koncepcje muzyczne wypaczyć, a nie wzbogacić. Dbały aż do przesady o jasność i czystość faktury, Szymanowski przebudowywuje i uzupełnia potem niektóre ze swych ówczesnych dzieł, które przynoszą mu pierwsze laury w kraju (Konkurs im. Chopina we Lwowie 1910) i zagranicą (Międzynarodowy Konkurs

Ciąg dalszy na str. 18-ej.


Od lewej: Ludomir Różycki, Karol Szymanowski, Grzegorz Fitelberg, Zbigniew Drzewiecki, N. Kondracki, P. Perkowski, I. Maklakiewicz i Mateusz Gliński składają w dniu jubileuszu „Młodej Polski w Muzyce" wieńce na grobie Mieczysława Karłowicza. (Maj 1931).


Karol Szymanowski jako 12-letni chłopiec (stoi obok drzewa) w otoczeniu brata Feliksa i siostry Stanisławy (po prawej). — Zdjęcie z Elizawetgradu.


Poniżej: Zarząd Filharmonji warszawskiej z r. 1925 — od lewej: Ludomir Różycki, Karol Szymanowski, Emil Młynarski, Grzegorz Fitelberg i Roman Chojnacki.

HOLLYWOOD Z PROFILU I EN FACE

Z TEKI KARYKATUR CHARLIEGO



Czytamy często: „Na firmamencie Hollywood pojawiła się nowa gwazda". A więc istnieje niebo, niedostępne dla astronomów! Niebo kinomanów.

Podobno zresztą, nie jest to siódme niebo, gdyż ciężko trzeba tam pracować na kawałek czeku z dolarami! A jednak gwiazdy filmowe są przedmiotem zazdrości wielu tysięcy nieznanych rywalek Grety Garbo i zapoznanych rywali Clarka Gabla, genjuszów rozsianych po wszystkich miastach i miasteczkach...

Niechże i oni mają raz swoją „Schadenfreude" — niech ucieszą się, że raz piękna Joan Harlow nie prezentuje się tak uroczo, jak zwykle, a wytworny Adolf Menjou wygląda, jak po nieprzespanej nocy!

Niech spojrzą na niebo Hollywood przez teleskop, w który wprawiliśmy krzywe zwierciadła! Ujrzą ulubieńców całej olbrzymiej sekty wyznawców bogini Filmji — w karykaturze.



Wallace Beery — dobroduszny gangster, rubaszny i opryskliwy, ale zawsze w ostatnim akcie stwierdzamy, że serce ma gołębie.

Na lewo: Oto popularny kapitalny tancerz, partner Shirleyki z „Mojej Gwiazdeczki", żyje z pracy własnych nóg.



Joe Brown — gwiazda odkryta niedawno w konstelacji Humoru. Jedyny człowiek, który ma uśmiech naprawdę od ucha do ucha.



Adolf Menjou — wytworny pan, zlekka znudzony. Niekiedy trochę szachruje, lub bywa „tym trzecim". Jest „tym pierwszym" wśród dżentelmenów ekranu.

Joan Harlow — platynowa piękność, niebezpieczna i uwodzicielska. Uwodzi hurtem mężczyzn i jeszcze wytwórnia dopłaca jej za to kilka tysięcy dolarów miesięcznie.



Shirley Temple — największa, choć najmniejsza gwiazda. Aniołek, który śpiewająco i tańcząco zarabia grube tysiące dolarów.





Lionel Barrymore — zazwyczaj ojciec lekkomyślnego syna. Biedaczysko musi użerać się z „damami kameljowemi" i wogóle ratować synów od zguby.

„Caricare", to po włosku: „przeładować, przesadzić". I rzeczywiście — charakterystyczne cechy twarzy siedmiu naszych gwiazd są grubo przesadzone, a jednak są podobni do siebie, jak dwie krople wody... Biedne gwiazdy! Grały sobie, jakby nigdy nic, śmiały się, kochały, płakały na ekranie — nie wiedząc, że z tajemniczej ciemni widowni śledzą je oczy złośliwego karykaturzysty. No, ale należy się spodziewać, iż gwiazdy, gdy ujrzą siebie w krzywem zwierciadle naszego teleskopu, zawołają napewno z dobrodusznym uśmiechem: „O key! Very well! Sure! (siur)" — jak to zwykle mówią bohaterowie filmów ...ekowych.

an.



Jedna ze scen baletu „Harnasie" Karola Szymanowskiego.

Ciąg dalszy ze str. 15-ej.

w Berlinie 1909). W tym czasie powstaje też szereg subtelnych pieśni, w których głębsza analiza odkryje wpływy stylistyczne Wagnera, Wolfa i Straussa.

Następne lata poprzedzające wojnę, spędza Szymanowski na licznych podróżach, zaglądając tylko w miesiącach letnich do rodzinnej Tymoszówki. I tam odkrywa nam go znowu „Opowieść" jego siostry Zofji. W ślad za wielkim kompozytorem zlatują się niczem wędrowne, ptaki do jego wioski sławni koledzy i przyjaciele, których ujarzmiła wielka indywidualność Karola Szymanowskiego. Harry Neuchaus, świetny pianista i niezrównany odtwórca dzieł swego kuzyna, Grzegorz Fitelberg, Artur Rubinstein i Paweł Kochański, o których każdy superlatyw będzie równoznacznym z wybijaniem otwartych drzwi światowej ich sławy — oni wszyscy czuli się w Tymoszówce jak u siebie w domu. Wpływał na to nie tylko serdeczny ton atmosfery dworu, ale i wysoka kultura artystyczna Karola Szymanowskiego, jego sióstr i brata Feliksa, który po śmierci ojca objął zarząd majątku. „Katot" zamyka się na długie godziny w swej „kompozytorni", którą był mały biały domek z gankiem na słupkach, obrosłym winoroślą, stojący samotnie w głębi ogrodu. Tam, schylony nad stosem szkiców i notatek, co zaścielały stół obok fortepianu, pracował Szymanowski godzinami, oderwany od świata i ludzi, otoczony tylko kolorowemi malwami, które „lato postawiło mu na straży pod oknami..." W tym okresie powstają wielkie dzieła, które imię ich twórcy roznoszą powoli po całym świecie. Doskonalenie techniki kompozycyjnej ze szczególnym upodobaniem problemów polifonicznych przejawia się w dwóch pierwszych Symfonjach (f-moll i b-dur), które na równi z Sonatami fortepianowemi wykazują jednak pewne tendencje do przeładowania faktury, wskutek czego niezawsze dostrzec można wszystkie rysy indywidualności własnej kompozytora. Niesamowity rozpęd inwencji i mistrzostwo techniki budzą największe uznanie, ale jednocześnie i świadomość konieczności pewnej reakcji i nawrotu do form mniej wymyślnych, do stylu bardziej bezpośredniego. Tę reakcję możemy poniekąd zauważyć w szeregu pieśni, w których bogactwo melodyczne idzie w parze z świetnością charakterystyki, z doskonałem zespoleniem szaty dźwiękowej z osnową poetycką („Pieśni Hafisa", Pieśni Muzzeina szalonego").



Karol Szymanowski przed odjazdem z Warszawy na premjerę „Harnasiów" w Paryżu.

Osobny rozdział w twórczości Szymanowskiego stanowi potężna III Symfonja op. 27. Styl dzieła jest dalszym etapem na drodze rozwoju samodzielnie zdobytych środków muzycznych kompozytora (part fortepianowy wykazuje pewne reminiscencje z dzieł Debussy'ego). Szkice do tej Symfonji przywiózł Szymanowski do Tymoszówki ze swej dalekiej podróży na Południe, bezpośrednio przed wybuchem wojny światowej (1914). Pod wpływem odgłosów nadciągającej zawieruchy wytwarza kompozytor w swem dziele środkami czysto muzycznymi przejmujący nastrój panicznego lęku, który dochodząc do kulminacyjnego punktu roztapia się w kosmosie (pociąg do tematów metafizycznych).

Inne dzieła (Nokturn i Tarantella) wskazują na doskonałe, choć zupełnie samorodne opanowanie stylu w kompozycji skrzypcowej, przy poznaniu na wylot natury tego subtelnego instrumentu i wszystkich jego technicznych i dźwiękowo-barwnych możliwości. Nie ulega wątpliwości, że Szymanowskiemu pomocnem tu było obcowanie ze świetnym skrzypkiem Pawłem Kochańskim i jego zaczarowaną grą. Dwie opery z tego okresu: Hagith i Król Roger, to monolity, wznoszące się dumnie na drodze pomników, wiodącej do krainy najdoskonalszej sztuki posługiwania się barwami orkiestralnego brzmienia.

Ścigani przez srożącą się rewolucję, opuszczają Szymanowscy Tymoszówkę i pobywszy jakiś czas w Elizawetgradzie, z trudem przedostają się do Warszawy. „Katot" odrazu wypływa na szerokie wody muzycznego życia w Polsce i zagrani-

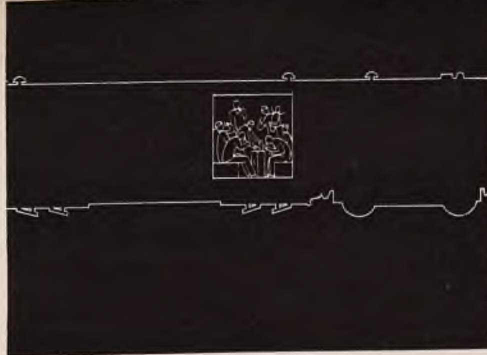
Dokończenie na str. 24-ej.



Sergjusz Lifar w „Harnasiach".

Każda pora roku inaczej usposabia Wiosna, to okres dziwnego niepokoju, nieokreślonych tęsknot, które z czasem zmieniają się w chęć wyjazdu, podróży. Żadna pora roku, jak właśnie okres wiosenny nie każe tak uporczywie myśleć o dalekich, nieznanych i egzotycznych krajach.

Na wiosnę budzi się w człowieku odwieczna pasja do wędrówek, zmiany miejsca pobytu, rodzi się w umysłach żądza przygody i doznania nowych wrażeń. Wiosna w XX wieku, który udoskonalił życie nowoczesnego człowieka, który uczynił podróż czemś nieomal doskonałem, to okres masowych wyjazdów. Kto tylko dysponuje czasem i odpowiedniemi środkami materjalnemi — wyjeżdża. Okres wiosenny, to czas dalekich szlaków, wielkich podróży i kosztownych wycieczek.





ŚWIAT Z PROSPEKTU

Plakat i ulotka propaguje turystykę światową

Znałem człowieka, który wraz z zbliżającą się wiosną stawał się innym, jakimś bardziej nerwowym, może nawet zagadkowym. Zazwyczaj pod koniec marca rozpoczynały się jego wędrówki po biurach podróży. Często spotykałem go, jak dopytywał się o prospekty i ulotki, dotyczące warunków i czasu przejazdu do najrozmaitszych krajów. Obchodziły go nazwy towarzystw okrętowych. Grymasił, wolał tę a nie inną linję. Zastanawiał się, czyby nie było lepiej odbyć podróży samolotem i jakby się to kalkulowało. Zazwyczaj wahał się najwyżej między dwiema możliwościami jazdy i dwoma krajami. A więc powiedzmy nie był jeszcze zdecydowany czy pojechać do Marokka, czy na wyspy Kanaryjskie. Słyszałem kiedyś, jak twierdził, że kwiecień będzie piękniejszy na Cejlonie i że wobec tego niema sensu jechać do Nara pod Osaką.

Urzędnik potakiwał poważnie — i zapewne w myśli szukał nerwowo położenia tej miejscowości. Mój znajomy wydymał wargi, zastanawiał się, ważył jakieś możliwości. — Wreszcie zabrał ulotki, prospekty, mapy, cenniki i powędrował do domu.

Zwierzał mi się kiedyś, że zazwyczaj odwiedza wszystkie biura podróży w mieście. **„Bo to nigdy niewiadomo"**... mówił jakby dla wytłumaczenia siebie. Mój znajomy odwiedzał też biura okrętowe. Dopytywał się o daty odjazdów transoceanicznych olbrzymów, wertował ceny, trasę i plan okrętu. Znał tonaż różnych jednostek, ich urządzenia i wygody.



Człowieka tego widywałem bardzo rzadko. Najłatwiej jednak można go było spotkać właśnie na wiosnę i to wczesną wiosną, gdy odwiedzał towarzystwa turystyczne. Myślałem o nim z zazdrością. Słyszałem urywki rozmów, jakie prowadził w biurach podróży z urzędnikami i podziwiałem jego znajomość świata, jego ton, gdy wymawiał nazwy obcych krajów. Mój znajomy wydawał mi się człowiekiem, który poświęcił czas i pieniądze na podróżowanie.

Kiedyś spotkałem go znowu. Zgadało się o Ameryce. Było to, zdaje sią, w związku z wystawą światową w Chicago. Byłem niezdecydowany co do wyboru hotelu. Słysząc to mój znajomy, obruszył się:

— Ach, jak można się zastanawiać. Naturalnie „Stevens". No, oczywiście, o ile się uprzednio zamówi apartament. Cena powinna być panu obojętną. Ale zato położenie. Niech pan zażąda frontowego pokoju na wyższych piętrach. Nie pożałuje pan. Nie zapomina się tak łatwo widoku na olbrzymią szaro-niebieską taflę Michigan. I to nie poprzez dachy... Wychodzi pan ze swego home'u — bo tak trzeba nazwać apartamenty tego hotelu, przechodzi ulicę i oto jest pan w ślicznym parku Grant, ozdobionym fontanną, a dalej już brzeg i jachty na jeziorze. Ach, mówię panu, to rzecz wspaniała, choć... nie wiem, czy nie wolałbym patosu Atlantyku, oglądanego z Manhattan...

Słuchałem oczarowany. Zaniepokoiły mnie jedynie ceny.

— Ależ nie jest tam znowu tak drogo, mój panie. Od dol. 2.50 ma pan pokój. A za 5 do 7... ha ha, to już coś pierwszorzędnego. Niech się pan nie zastanawia. Zresztą obok ma pan jeszcze hotele „Blackstone" i „Congress", których okna też wychodzą na Michigan. Ale to już nie to.... towarzystwo, mój panie...

Szliśmy ulicą. Napomknienie o Finlandji spowodowało jego entuzjazm i nowy potok słów.

— Ach, jak tanio! Jaki kulturalny kraj! Jak czysto, cicho, porządnie. I wie pan, żyje się tam naprawdę za bezcen, posiadając naszą drogą walutę.

O wielu jeszcze krajach mówiliśmy, a raczej opowiadał mój znajomy. Wspominał też, zdaje się, z oburzeniem o Monte Grappa i o reklamowaniu cmentarzysk wojennych. Rozstaliśmy się.

Nie widziałem go sporo czasu. Może minęły dwa lata od czasu, kiedy mi doradzał hotel „Stevens'a" w Chicago. Aż kiedyś po moim powrocie z Belgji natknąłem się znowu na niego. Była jesień. Pamiętam, że deszcz siompił niemiłosiernie i zimno było bardzo. Wychodziłem z jakiegoś składu i otwierając parasol, potrąciłem go. Mój obieżyświat z podniesionym kołnierzem szedł prędko. Krzyknąłem. Odwrócił się i przywitał ze mną. Minę miał nietęgą. Pogoda zdaje się podziałała na niego.

— Gdzież pan był tego roku? — rzuciłem pytanie.

— Nigdzie — odpowiedział. — A pan?...

— W Belgji.

Mój znajomy ożywił się i zaczął mnie wypytywać jak odbyłem podróż, gdzie się zatrzymałem. Wreszcie zaproponował, abyśmy wstąpili do kawiarni.

— No tu jest o wiele cieplej i przyjemniej. Niechże pan coś opowie o swej podróży — prosił mnie, gdy usiedliśmy przy stoliku.

Trochę byłem zażenowany jego uprzejmą ciekawością, trochę zaś krępowała mnie świadomość, że oto siedzi obok człowiek, znający cały świat, jak własną kieszeń.

Jakoś z początku nie szło mi to opowiadanie. Ale mój rozmówca umiał mnie zachęcić. Po jakimś czasie zdawać mi się zaczęło, że w jego oczach ujrzałem błyski zachwytu. Rozgadałem się nadobre. Tak przesiedzieliśmy sporo czasu. I naraz zdałem sobie sprawę, że ja tylko mówiłem, a mój znajomy najwyżej rzucał od czasu do czasu jakieś zapytanie, lub parę słów zachwytu.

— Pan zna, oczywiście Belgję, więc dla pana to wszystko rzeczy znane — powiedziałem.

Mój znajomy spochmurniał. Odczułem niejasno, że zrobiłem mu jakąś przykrość tem odezwaniem. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie mój towarzysz poruszył się.

— Właściwie to, co panu powiem, nie będzie go obchodzić. Ale dla mnie stanowić



to będzie wyznanie. Często spotykaliśmy się w biurach podróży. Czasem mówiłem z panem o wyjazdach i opowiadałem o dalekich stronach. Nabrał pan wskutek tego może przeświadczenia, że znam świat i dużo jeżdżę. Zdziwi więc pana, gdy zapewnię go, że z miasta nigdy w życiu nie wyjeżdżałem... Tak jakoś składało się, że kiedy byłem młody i zdolny do przedsięwzięcia czegoś szalonego, jak powiedzmy podróż bez pieniędzy — robiono mi wielkie nadzieje w związku z moją pracą zawodową. Myślałem, że zrobię karjerę — i na ten okres powodzenia życiowego odkładałem podróże, o których marzyłem od małego dziecka. Nadzieje jednak nie ziściły się. Minęła młodość, a z nią odwaga do jazdy w nieznane. Ożeniłem się, osiadłem na stałe w mieście, nie ruszając się, grzęzłem coraz silniej i wrastałem w teren.

Nigdy — ciągnął dalej — nie zazdroszczę mym bliskim, gdy wyjeżdżają na wakacje. Dla nich zbieram pieniądze i zapewniam wygodny odpoczynek. A ja?... Cóż to byłaby dla mnie za przyjemność wyjechać, powiedzmy, do Zakopanego. Pogardzałem podmiejskiemi wycieczkami, wśród zgiełku i znajomych twarzy. Marzyłem o dalekich szlakach... Jeszcze dawno, bardzo dawno potrafiłem wystawać przed oknami biur podróży i przypatrywać się kolorowym wizerunkom obcych stron. Mocne, soczyste kolory ulotek hipnotyzowały mnie. Kiedyś wstąpiłem do takiego biura i pod pretekstem, że chcę wyjechać, wziąłem kilka prospektów i planów jazdy. W domu studjowałem je, na mapie porównywałem odległości, wyszukiwałem miejscowości. W planach były ich fotografje. Proszę mi wierzyć, że odbyłem wtedy po raz pierwszy podróż. Była to eskapada w imaginacji, którą znakomicie podsycały prospekty i afisze, reklamujące dane



kraje. Od tego czasu zbieram je, mam ich wiele w swej szafie. Wiem, o ile potaniały bilety okrętowe w ostatnich latach. Znam połączenia statków. Wyobrażam sobie dalekie miasta, ogrody, góry... Ale cała znajomość tego mojego świata z prospektów, oparta jes na ulotce propagandowej, a wszystkie podróże i przeżycia miały miejsce w mej imaginacji — były fikcją...

Mój znajomy zamilkł. To, co powiedział, było dość dziwne i prawdę powiedziawszy, zaskoczyło mnie. Rodziło się we mnie uczucie zachwytu i smutnego podziwu dla tego człowieka.

Często wspominałem go, tego dziwnego



globtrottera, który w wyobraźni okrążył cały świat, mieszkał w luksusowych hotelach, jadał w najlepszych restauracjach, jeździł okrętami, międzynarodowemi ekspresami, samolotem i rikszą po wąskich uliczkach Pekinu. Zastanawiałem się nad jego wrażliwą naturą i jego potęgą pragnień ujrzenia świata choćby oczami wyobraźni. Doszedłem do wniosku, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu niemożliwemby było, aby szary człowiek tak prawdziwy mógł wywołać obraz świata w swej wyobraźni.

Wszyscy doskonale pamiętają, że jako dzieci, a więc istoty bardziej wrażliwe i bezpośrednie — przeżywali dreszcze grozy — ukryci n. p. w wysokich szuwarach, z pióropuszem „indyjskim" na głowie — na odgłos „tajemniczych szmerów". To zbliżało się nieznane. Jakiś potwór, przed którym trzeba się ukryć. I zupełnie nie rozwiewał tej legendy dziecięcej widok, powiedzmy, konika polnego, który spowodował szmer...

Aby wywołać podobne poddanie się ludzi dorosłych obcym urokom, trzeba było użyć olbrzymiego aparatu reklamy, ludzi piszących, wielkiego zmysłu organizacyjnego, fotografij i artystów-grafików z całą ich pomysłowością. Przyznać trzeba, że sztuka udała się, że biura podróży i rady turystyczne różnych krajów podsyciły właściwą każdemu człowiekowi żyłkę do podróży do maksimum i potrafiły go zahipnotyzować czarem dalekiego świata.

Przykre refleksje jakie mogą się w związku z wzmożoną turystyką światową nasunąć romantykom, to może to, że nawet piękne widoki i czarujące panoramy zostały dzisiejszym materjalistycznym społeczeństwom przehandlowane. Może jeszcze to sprawić przykrość samotnikowi, że niema już właściwie dziewiczego lądu, że wszędzie pobudowano windy, koleje linowe, doprowadzono drogi żelazne i założono lotniska. Brak im może uroków dawnej jazdy dyliżansem od postoju do postoju i odpoczynków w karczmie przy rozpalonym na kominie ogniu. Tych jednak trzeba pocieszyć, że dzisiejsza jazda pociągiem nastręcza równie dużo, choć zupełnie innych dreszczyków i upojeń. Jeżeli zaś ktoś nie przepada za szybkiemi i gwarnemi transoceanikami, niech wsiądzie na „kargo" i wlecze się z ładunkiem drobnicy od portu do portu.

Organizacja podróży w ostatnich latach została doprowadzona do perfekcji. Światowe biura podróży, reklamujące dany kraj, zamykają na kilkudziesięciu stronach broszury wiadomości tak obszerne i wyczerpujące, jakich można było dawniej szukać tylko w Baedeckerach. Ponieważ turystyka stała się w latach powojennych jedną z niewielu gałęzi „przemysłu" na eksport, reklamowano ją nad wyraz silnie. Wszędzie docierały ulotki pomyślane przez artystów. Biura zostały zarzucone formalnie kolorową lawiną widoków z całego globu. W tej powodzi, ginęły oczywiście i zacierały się mniej indywidualne cechy krajów. W szalonej konkurencji potęg, jakiemi bezsprzecznie są biura podróży — subwencjonowane często przez rządy — począł urabiać się typ nowoczesnego afisza i reklamy turystycznej, a propaganda turystyki nie tylko ze względów handlowych, ale często politycznych stała się bardzo trudną. Tem da się tłumaczyć ogromna ilość atrakcyj różnego typu w poszczególnych krajach, zawodów sportowych, którym przypisują wagę nieomal politycznych rozgrywek, wreszcie wystaw światowych. Wystawy te subwencjonowane przez rządy są ostatnio bodaj najsilniejszym argumentem w zdobywaniu turysty zagranicznego i jego portfelu.

Gdy z jednej strony — organizacja podróży do najdalszych zakątków świata nie pozostawia rzeczywiście nic do życzenia i gdy opieka nad turystą z pieniędzmi jest wprost nadzwyczajna — to z drugiej, podróżowanie własnym przemysłem, włóczenie się po świecie — wymaga niebyle umiejętności i odwagi. Turysta nie zaopatrzony w nadprogramową i sporą gotówkę musi odznaczać się odwagą, jakiej nie zbywało pionierom w okresie kolonizacji. Chociaż egzotyczne lądy przestały być wrogie Europejczykowi, to jednak samotnego turystę czekają stokroć gorsze niebezpieczeństwa ze strony perfidnego białego człowieka, strzegącego swych kolonij.

A jednak prawdziwą podróż, podróż pełną nieskłamanych przygód i niezapomnianego uroku, niewygód i zapracowanych posiłków może dziś odbyć wyłącznie taki turysta, który zdobędzie się na odwagę podróżowania samemu. Podróż wygodną pozostawmy sobie na starość, ludziom interesu, snobom...

Gdyby w dzisiejszych czasach zdarzyć się miała, lub raczej powtórzyć słynna Wędrówka Ludów, która swego czasu urosła do rozmiarów klęski, to wierzyć należy że organizacje turystyczne potrafiłyby przeprowadzić ją składnie i bez najmniejszego zamieszania.

J. M. Brzeski.



WACHLARZE PUSTYNI

VALSE HORS D'HALEINE

tragment muzyki do baletu »WIOSENNE IGRASZKI«

ADAM LENCZOWSKI (1930)



ZDRADA

nowela napisała GAJANA

CHARLIE

Wiedziała, że podejrzewał ją. Coś przeczuwał niejasno, męczył się, wahał, myślał, dochodził... Uważnie patrzył w jej twarz, gdy przychodziła do domu. Pytał trochę niemądrze, z błyskiem podejrzliwości w oczach:

— Gdzie byłaś tak długo?

— U modystki! — odpowiadała z miłym uśmiechem. To zresztą zależało od okoliczności. Czasem, była to krawcowa, krawiec, kino lub przyjaciółka. Patrzyła mu wprost w niespokojne oczy zimnemi, trochę drwiącemi źrenicami, które mówiły mu tak mało.. tak nic — i tak wiele, tak bardzo wiele!

Domyślał się. Kłamała. A jednak jeszcze nie był pewny. Jeszcze wierzył, usprawiedliwiał, tłumaczył przed samym sobą. Miała tak mało zajęcia... Dom? Nie, nie była stworzona do tego, z tą drobną, wysmukłą postacią, z włosami skręcającemi się w złote pukle za uszami, z twarzą różową i dziecinną, z ustami, co śmiały się tak kusząco do świata, do ludzi, do życia...

Tylko nie do niego.

Może dawniej. Lecz dziś... Co jej zawinił? Nie wiedział. Kochał. Może właśnie za bardzo kochał. Może trzeba było nie błagać spojrzeniem o uśmiech, o pieszczotę, o słowo... Nie umiał. Gdy brał czasami tą smukłe ciało w objęcia i wargami zamykał jej usta, a potem zatracał się w własnym szale do dna, do granic, do zapamiętania... widział zawsze, mimo wszystko, jej oczy rozwarte, nieruchome, zimne, najdziwniejsze, trochę drwiące oczy, czyste jak szkło, i jak szkło bez głębi, niezbadane.

— Kochasz mnie? — pytał niecierpliwie, wpijając się źrenicami w te bez głębi oczy. — Powiedz, kochasz mnie?

I otrzymywał zwykle — pocałunek, czasem — spojrzenie, czasem, rzucone w przestrzeń:

— Pocóż się pytać? Czy nie mówiłam ci już tego?

Denerwował ją. Chwilami miała ochotę parsknąć mu w oczy śmiechem, okrutnym, zimnym śmiechem, żeby tylko przestał pytać, badać, żebrać o łaskę miłości, żeby mu twarz zbladła z irytacji i urażonej, strasznie męskiej dumy. Żeby raz nareszcie ujrzeć te ciepłe, szare oczy zwężające się, ciskające błyskawice, wściekłe, szarpiące... Była w niej w głębi jakaś dziwna, przemożna chęć, kapryśna, histeryczna, podświadoma: żeby choć raz zły, silny i doprowadzony do pasji, chwycił ją zgniótł w ramionach i poprostu mocno zbił.

Ale on nie widział tego. Jak cień szły za każdym jej krokiem szare, zaniepokojone oczy. Pytały, i jeszcze wciąż były niepewne. Wracała czasem ciepła od pocałunków tamtego, tętniąca rozkoszą, roześmiana, wesoła... I nawet nie starała się wcale ukrywać tego, przez jakąś dziwną przekorę. Wprost z tamtych ramion przychodziła do niego i kładąc mu ręce na ramionach zaglądała w oczy zbliska, z rosnącą nagle w sercu złością na jego bierność i wiarę, i mówiła:

— Tęskniłeś? Byłam w kinie. Tak się świetnie bawiłam!

Jego oczy całowały ją, a ona rzucała mu w twarz już ze złością:

— No i czemu tak patrzysz? Boże, zawsze te twoje czułości! — i rzucała w kąt pokoju nowy, jedwabny kapelusz, żeby chociaż w taki sposób wyładować swoje zdenerwowanie.

— Jakiż jest głupi, głupi, beznadziejnie głupi! — zżymała się w duchu. Chwilami brała ją przemożna, dławiąca chęć stanąć przed nim i wprost w te znane tak dobrze, uśmiechnięte oczy, rzucić brutalnie:

— Zdradziłam cię! Czyż nie widzisz, nie czujesz, nie wiesz?...

Ale jakiś dziwny, zatajony głęboko strach wypełzał wtedy z zakamarków duszy i kazał milczeć. Bo może ta wielka, wszystko tłumacząca miłość, zamieniłaby się wtedy w głuchą bez granic nienawiść?

Biegła do domu prędko, iskrzący śnieg padał w błyskach latarń na jej twarz, włosy i ubranie, i zamierał w niepozornych kropelkach wody. Mokre włosy uderzały ją po policzkach, zaróżowionych od biegu. Niecierpliwie wymijała obcych, nic nie znaczących ludzi. Byle prędzej do domu! W duszy szalał wściekły, szarpiący ból urażonej kobiecej dumy i obraz tego, co zaszło przed chwilą, uparcie wtłaczał się w mózg, nie dawał zapomnieć o sobie ani na sekundę.

— Podły! Podły! — syczała zaciśniętemi ustami, a przechodnie usuwali się na bok pod uderzeniem jej wzroku, tnącego jak stal.

Miała w tej chwili jedno tylko pragnienie: dopaść domu i rzuciwszy się na łóżko zatonąć w najsłodszej, najrozkoszniejszej myśli o zemście.

Bo przyszła do niego jak zwykle i zastała drzwi zamknięte. Wiedziała — o, wiedziała napewno, że był. Nieomal czuła go za temi zamkniętemi drzwiami, jak czekał niespokojnie, aż odejdzie, jak uśmiech przebiegał drwiąco po jego wargach...

Jak on śmiał, jak śmiał odepchnąć ją pierwszy! Opętał ją, uwikłał w sidła szalonej, niecierpliwej miłości, tak, że nie zdążyła zorjentować się w porę, i powiedzieć: dość! Jak strasznie upokorzona musiała odejść od drzwi i zejść po schodach i dumnym ruchem główki odpowiedzieć na wyraźnie drwiący ukłon stróżki!

Podły! Ach, jakiż podły!

Dopadła bramy i nieomal wbiegła po schodach na górę. Zadzwoniła niecierpliwie i uczuła, że zalewa ją nowa fala gniewu, gdy ujrzała płaszcz męża w przedpokoju. Skąd się wziął? Właśnie dziś, gdy chciała być sama. Gdy gwałtownie pragnęła w samotności szaleć po pokojach i wyładować swój zawód i ból...

— Dzień dobry kochanie! — powitał ją jego ciepły głos. — Gdzieś była?

Mruknęła coś niewyraźnie i wyminąwszy go, wpadła do pokoju, rzucając po drodze futro, kapelusz i rękawiczki.

Wszedł za nią.

— Tego tylko brakowało! — pomyślała ze złością i nerwowym ruchem przyczesywała lśniące, wilgotne od śniegu włosy. W lustrze widziała swą bladą z gniewu, lecz zawsze piękną twarz i oczy lśniące jak dwie olbrzymie, zimne gwiazdy, ostre, tnące nożami złych spojrzeń. Widziała swą przechyloną w tył, smukłą, cudownie zbudowaną postać, i cała ta odrzucona, wzgardzona przez tamtego piękność, rzuciła się jej w oczy gryzącem upokorzeniem. Zemścić się! Zemścić się! Gdyby tu był teraz uderzyłaby go chyba w twarz, poraniła mu skórę ostremi paznokietkami, lub kazałaby mu skomleć u nóg i błagać i prosić o jeden mały, maleńki okruch miłości... tej miłości, którą miał, nasycił się, wypił do dna, i odsunął, jak bezużyteczny, niepotrzebny już nikomu przedmiot.

Lecz zamiast tamtego, był tylko ten — mąż. Człowiek znany tak dobrze, zbyt dobrze, patrzący z miłością i wiecznym zachwytem w jej zmienioną z gniewu twarzyczkę. W lustrzanej, lśniącej tafli zbliżał się coraz więcej i widziała, jak ciepłe, szare oczy zaczęły płonąć, żarzyć się, i wpijać w przegięte w tył ramiona... jak obejmowały ją całą, gorącą obręczą.

Podszedł blisko zupełnie i delikatnie obrócił ku sobie. Z grzebieniem w ręce, z wargami zaciśniętemi, sztywna i niechętna, dała się objąć i pocałować. Przykryła rzęsami oczy. Miała ochotę odepchnąć go dziko, z furją i wypchnąć za drzwi... ale zacisnęła zęby i krzyknęła tylko nerwowo:

— Zostaw!

A potem zaraz:

— Czy nie widzisz jaka jestem zdenerwowana?

Naturalnie, pożałowała tego odrazu. Objął ją tem mocniej i delikatnie przesuwając palcami przez złote włosy, pytał cicho i czule:

— Czemu? Co się stało? Moje biedne maleństwo! Czy zrobił ci ktoś krzywdę? Czy się coś dziecku nie powiodło? Powiedz! No, powiedz kochanie! Przecież możesz mi powiedzieć? Prawda?

W miarę jak mówił, w sercu jej rosła i potężniała dziwna, szalona chęć zadania mu bólu. Palce jego tak delikatnie przesuwały się po jej włosach, policzkach i skroniach, głos brzmiał głęboko, ufnie i ciepło. Tuż

przed sobą, przez przymknięte rzęsy widziała znaną sobie tak dawno, tak dobrze, męską, otwartą twarz, z dwojgiem szarych oczu. Patrzyły w tej chwili na jej włosy i lśniły głębokim, jasnym blaskiem. Niezbyt wąskie, gładkie wargi wzbudzały uczucie zaufania i siły. Z okrutną jakąś ciekawością śledziła grę tej twarzy, każdy jej ruch, drgnienie, błysk... i widziała na niej kolejno zachwyt, czułość, miłość i pożądanie, jak w znanej, czytanej wiele razy książce.

Walczyły w niej dwie chęci, dwa pragnienia równie silne.

Jedno pchało ją do objęcia tej bliskiej sobie postaci ramionami, i złożenia skołatanej przepełnionej żalem głowy na szorstkim materjale ubrania. Drugie... drugie pomału zalewało ją całą, zwyciężało, zamraczało umysł, jak opium, zniewalało do posłuchu. Była to przemożna, nie do opanowania chęć zadania mu ciosu. I to ciosu tak głębokiego, żeby zabił równocześnie całą złość i piekący ból urażonej dumy.

— Więc nie powiesz mi? Będzie ci lżej, zobaczysz maleńka, — ujął jej ręce i zamknął w gorących dłoniach. — Zmarzłaś... Zimne masz rączki. Nie przejmuj się kochanie, nie warto! Minie zło, zobaczysz... — i podniósłszy jej chłodne palce do ust, przytrzymał je przez długą chwilę.

Wyrwała mu nagle ręce z wściekłością i odskoczyła wtył. Odemknięte teraz oczy, rozwarte szeroko, ciskały przejrzyste, jasne błyski, jak wyostrzone sople lodu. Spadały na jego twarz, ramiona, ręce, biły go, siekły bezlitośnie, drwiąco, nienawistnie...

Jak dzika kotka odskoczyła od niego, rzuciła grzebień na ziemię z trzaskiem, aż złamał się i rozłupane kawałki rozleciały się w kąty pokoju. Włosy rozburzone nagłym ruchem opadły złotą burzą na twarz, i jakby biorąc udział w furji pani prężyły się, drżały, lśniły, skręcały się w jasne, jak z szlachetnego kruszcu zrobione węże.

Patrzał zdumiony i z początku nie bardzo wiedział o co chodzi. Widział przed sobą rozzłoszczoną, zdenerwowaną do ostateczności kobietę, gotową gryźć, drapać i szarpać przeciwnika na śmierć, bez litości! Małe pięści zaciśnięte w gniewnym porywie, aż zbielały. Smukła postać skurczyła się jak do skoku, i była tak piękna w tym ruchu podrażnionego, nie pomnego na nic dzikiego zwierzątka, że oczy mężczyzny zabłysły nagle zachwytem. Uśmiechnął się i nie przeczuwając całej siły tego gniewu, zbliżył się o krok, wyciągając do uścisku ramiona.

Tego jej już było za dużo. Rzuciła się naprzód i uderzywszy go z całej siły zaciśniętemi pięściami w piersi, krzyknęła histerycznie:

— Precz ode mnie! Precz!

Przez moment zawahał się i zatrzymał. W oczach błysnęło błaganie o miłość. To wystarczyło. Jak nieprzytomna, nie zważając już na nic, czując w sobie tylko jedno pragnienie — być okrutną — wyrzucała z siebie słowa jedne przez drugie, jakby nie mogąc znieść dłużej ich ciężaru i tajemnicy:

— Jesteś głupi! Głupi! Beznadziejnie głupi! Nienawidzę cię! Nie kochałam cię nigdy! Co mi dałeś? Mam dosyć twoich czułości, pieszczot, twoja dobroć zabija mnie! Żebrzesz o moje pocałunki, a ja cię nienawidzę, nienawidzę was wszystkich! — głos jej się załamał szlochem, ale mówiła dalej, nie zważając, że twarz jego bladła coraz więcej, a oczy stawały się przejrzyste z bólu.

— Wszystkiemu ty jesteś winien! Mam kochanka! Rozumiesz? Zdradzam cię! Zdradziłam cię nie raz, nie dwa, a ty prosiłeś o moje pieszczoty. A ty byłeś głupi, ślepy, ach, jakiż głupi! Nienawidzę cię za to. Nie proś mnie o miłość, jesteś mi wstrętny, rozumiesz? Jesteś mi wstrętny ze swoim uśmiechem, który mi wszystko przebacza! Zrozum to nareszcie, pomnij to, przejrzyj-że wkońcu, że dawałam ci siebie z łaski, tak, właśnie — z łaski. A ty brałeś i prosiłeś o jeszcze!

Zachłysnęła się słowami i wzbierającym płaczem i urwała. Na twarzy miała małe, ceglaste wypieki z podniecenia. Nareszcie! Nareszcie powiedziała mu wszystko! Rzuciła mu w twarz cały swój gniew, pogardę, całe swoje upokorzenie wykrzyczała, wtłoczyła w jego duszę, zrzuciła ze siebie ten ciężar i jest wolna. Wolna! Nareszcie wolna!

Po raz pierwszy spojrzała przytomniej na niego. Stał tak, jak zaskoczył go jej napad, lekko poddany naprzód, z ramionami trochę śmiesznie zwisającemi po bokach.

Ale jego twarz?

Czyż to jest naprawdę jego twarz? Te wąskie, zupełnie białe wargi, zaciśnięte w jedną prostą linję. Te policzki pobladłe nagle, i jakby zapadnięte, z dwiema głębokiemi rysami wokół ust.

I oczy. Najgorsze są te oczy właśnie.

Musiała wytężyć całą siłę woli, żeby zmusić się do spojrzenia prosto w te dziwne, nie samowite źrenice.

Ogromne, jakby szklane, oszalałe z bólu, patrzyły na nią bez ruchu, bez drgnienia rzęs...

Jak urzeczona patrzyła, gdy się w nich załamało dziwne, fosforyzujące światło, zalśniło martwym, trupim blaskiem i wreszcie bez jednego skurczu powiek spłynęło dwiema przeraźliwie jasnemi łzami. Była to twarz człowieka martwego — woskowo blada, jakby zapadnięta w siebie, nieruchoma, zastygła, ze źrenicami wbitemi w jeden punkt: w jej oczy.

Jak błyskawica zbudziła się w niej gdzieś w głębi okropna myśl i zmroziła jej umysł, jak bryłkę lodu:

— Zabiłam go!

A potem zaraz jeszcze gorsza:

— Zabije mnie!

Zabije mnie... zabije mnie... zakołatało nagle oszalałe strachem serce, i zatłukło się pod różową skórą. Cofnęła się o krok, wyciągając jak w obronie ręce. Nie mogła oderwać od niego wzroku, nie mogła krzyknąć, choć otworzyła usta, jak do krzyku. Jego nieruchome, straszne w swym cierpieniu oczy trzymały ją na uwięzi, paraliżowały każdy ruch.

Spróbowała przemówić, ale wargi się jej trzęsły i odmówiły posłuszeństwa.

Znowu cofnęła się krok wtył. Lecz on posuwał się za nią.

Zabije mnie! Zabije mnie!

Żeby mogła krzyczeć! Uciekać! Nie widzieć! Ale patrzy wciąż na nią. Wargi mu drżą teraz.

Posunął się ku niej. Przerażona odskoczyła wtył i nagle krzyknęła przeraźliwie:

— Nie! Nie!

Jakby zbudzony ze snu, drgnął, zacisnął pięści. Twarz ożyła, fala krwi zalała policzki, nabiegła aż do oczu. Zaświeciły krwawym jakimś blaskiem. Nieprzytomna prawie z przerażenia cofała się krok za krokiem, a okropny strach wypełzł z wpatrzonych w niego źrenic. Coś niby uśmiech drwiący, zimny i okrutny przeleciał przez wargi mężczyzny. Szedł za nią krok za krokiem, zmuszając wkońcu do oparcia się o futrynę okna. Drżącemi rękoma odpychała go teraz od siebie, czując za sobą zimną taflę szyby. Całym wysiłkiem woli zdobyła się na to, że wyszeptała chrypliwie:

— Posłuchaj... te słowa, — ja, kocham cię... przebacz... ja, naprawdę...

Uczuła się nagle porwaną, zgniecioną, zmiażdżoną w objęciu ramion. Tuż nad nią głuchy, wściekły głos zapytał:

— Kochasz mnie?

— Tak, tak, tak! — wyszeptała nieprzytomnie.

— Kłamiesz!

— Nie! Tak... ach, posłuchaj...

Nie dał jej skończyć. Poczuła, jak jego ramiona gniotą ją niemiłosiernie.

— Spójrz na mnie!

Otworzyła oczy.

Cała bezdenna pogarda, rozpacz, ból, gniew, dotknięta do żywego duma mężczyzny była w jego zimnych, bezlitosnych oczach. Patrzyli tak na siebie długą chwilę. Fala wstydu i przerażenia zalała jej twarz. Pochylił się nisko, nisko nad nią, jakby chciał uderzyć ją i wtłoczyć wzrokiem w jej świadomość całą swą pogardę. Drwiący, okrutny uśmiech wykrzywił jego wargi:

— Ty — dziewko!

Odepchnął ją od siebie i wyszedł.

Dokończenie ze str. 18-tej.

cą, dając szereg niezwykle udanych recitali kompozytorskich, w których biorą również udział doskonała pieśniarka Stanisława Korwin-Szymanowska i Paweł Kochański. Druk wszystkich po kolei dzieł Szymanowskiego w nakładzie „Universal Edition" w Wiedniu uprzystępnia je całemu światu. Wielki nasz rodak zdobywa stolicę za stolicą i sława jego rośnie, przysparzając mu wiele zaszczytów i godności. Powstają nowe dzieła, które ukazują nam też nowe oblicze ich autora.

W twórczości Szymanowskiego następuje teraz znamienny zwrot. Dłuższy pobyt w Zakopanem (przebywał tam Szymanowski parokrotnie — w roku 1904 należał do grona Żeromskiego, Adama Bandrowskiego i in.) i głębokie zainteresowanie się sztuką Skalnego Podhala świadczą o zamiarze przyswojenia sobie takiego stylu, któryby znalazł jak najpełniejszy oddźwięk w społeczeństwie polskiem i skłonił je do wyjścia z tragicznego impasu w stosunku do bardziej wartościowych wysiłków twórczych w dziedzinie muzyki poważnej. Tego rodzaju nastawienie Szymanowskiego zgadzało się z jego poglądami na konieczność wytworzenia u nas społecznej kultury muzycznej, która jest, jego zdaniem, jedyną odskocznią dla szukającej wysokiego lotu indywidualnej twórczości każdego artysty. Bez tej odskoczni muzyka musi się znaleźć w próżni, nie wywołując rezonansu w szerszych warstwach społeczeństwa (patrz: Karol Szymanowski „Wychowawcza rola kultury muzycznej"). Otóż nie ulega wątpliwości, że naprowadzone tu momenty skłoniły wielkiego kompozytora do wydobycia na szerszą arenę i przystrojenia w godowe szaty najpiękniejszych motywów góralskiej muzyki, których zadaniem będzie obudzenie „sumienia artystycznego" w narodzie.

Pracę tę wykonał Karol Szymanowski wsposób doskonały, dając nam znowu kilka nowych arcydzieł, o różnej formie i charakterze. Były niemi: Mazurki op. 50, II Kwartet, pięć pieśni p. t. „Słopiewnie". wreszcie monumentalny balet „Harnasie" — wszystkie te kompozycje oparte na motywach podhalańskich. W pobieżnym przeglądzie dorobku artystycznego wielkiego muzyka nie możemy pominąć milczeniem dzieła o niezmąconym, najczystszym stylu religijnym, jakim jest: Stabat Mater, op. 53, skomponowana w zimie r. 1925—26.

* * *

Przez długie lata trwała budowa monumentalnej świątyni, w której Karol Szymanowski składał dzieła swego pracowitego żywota na ołtarzu najczystszej sztuki. I gdy był już u szczytu, zasiadłszy między Wielkimi współczesnej muzyki, padł grom, który wytrącił mu z rąk lutnię i przerwał pieśń nieśmiertelną...

Odszedł Wielki Piewca, ale jego dzieła zostały wśród nas!

Juljusz Leo.

IRENA BOROWSKA

Irena Borowska studjuje w zaciszu domowem nową rolę.

Zdjęcia: M. BIL Warszawa

Poniżej: A oto uśmiech wybitnej artystki, którym czaruje ona rzesze wielbicieli jej urody i talentu...



Kiedy po opuszczeniu P. I. S. T.-u Irena Borowska otrzymała engagement do teatru lwowskiego i dyrektor powierzył jej jedną z większych ról, spotkało ją to, co może aktora najprzykrzejszego spotkać: wskutek zmiany na stanowisku dyrekcji, tymczasowe nowe władze teatru odebrały jej tę pierwszą rolę i kazały grać co innego, a na dobitkę zamiast nazwiska wstawiły do programu.. trzy gwiazdki. Los jednak czuwał nad karjerą utalentowanej młodej artystki i oto te trzy gwiazdki dostały recenzję i to recenzję bardzo pochlebną. Nie pomogło żadne ukrywanie czy tłumienie bujnego talentu. Przebił się przez wszystkie trudności, zwrócił, choć chwilowo anonimowy, na siebie uwagę; od tej chwili datuje się karjera artystyczna Ireny Borowskiej.

Dwa i pół roku pracy na scenie lwowskiej poprzedziło jej przyjazd do Warszawy. Tu ujrzeliśmy ją najpierw w „Królowej przedmieścia", gdzie odniosła wielki sukces. Potem przeszła p. Borowska do Nowego Ateneum i zagrała rolę w sowieckiej sztuce „Dziwak". Tu znów wysunęła się na czoło i odtąd wszyscy bez wyjątku recenzenci wyrażali się o niej w takich słowach: „ujmująca naturalnością wyrazu, pełna wdzięku, czarująca urodą, operująca prostemi a wysoce artystycznemi środkami, stojąca na wysokim poziomie sztuki odtwórczej" itd. itd.

Tak pisali recenzenci o Irenie Borowskiej, młodziutkiej artystce, gdy stawiała pierwsze kroki na stołecznych scenach.

A kiedy następnie zaangażował ją Szyfman powierzone jej role szekspirowskie grała tak, że Boy nie zawahał się wyrazić z dużem uznaniem o wszystkich jej kreacjach „mających tradycję samej Modrzejewskiej".

Talent, który zawiść ludzka chciała u samego progu karjery ukryć pod trzema gwiazdkami, a który potrafił siłą swej prostoty, szczerości i entuzjazmu zwrócić na siebie uwagę bez niczyjej pomocy i protekcji, zaczął się rozwijać coraz bardziej i coraz pełniej.

W każdej sztuce, gdzie grała p. Borowska, zwracano uwagę na fakt, że każda z postaci była czemś innem, czemś nowem, odrębnem.

W ciągu ostatnich dwóch lat widywaliśmy znów mniej tę zdolną artystkę, a przynajmniej role, jakie otrzymywała, nie pozwoliły jej w pełni się wyżyć. Zdaje się jednak, że w najbliższym czasie zobaczymy p. Borowską w jednej z lepszych jej kreacyj w „Wiśniowym sadzie" Czechowa, dającej jej możność uwypuklenia głębszych wartości swego talentu.

A jakby można scharakteryzować usposobienie tej skromnej, mało o sobie mówiącej artystki? Życie wogóle, w szczególności zaś swój zawód artystyczny traktuje ona bardzo serjo: jest osobą poważną w obejściu, aż za poważną jak na swój wiek i.. swoją urodę i poważnie myślącą. A co najważniejsze nie jest ona artystką tylko na deskach scenicznych. Piękny jej zawód pochłania ją całkowicie, nawet poza teatrem. Gdy np. mówi o którejś ze swoich ról, z dziwną giętkością psychiczną „przywdziewa" jakby jakiś strój, postać z danej roli tak, że odrazu widzimy już nie Irenę Borowską „na codzień", ale, jeśli tak się można wyrazić, ożywiony fragment z jej scenicznej działalności, o której opowiada artystka i z którą zapoznać chce swego interlokutora. Jako rasowa artystka odczuwa wtedy największe zmartwienie, gdy któraś z ról powierzonych jej nie harmonizuje, jej zdaniem, z charakterem jej i usposobieniem. Lecz Borowska nie cofa się przed tem trudnem zadaniem i stara się wówczas zarówno w roli, jak też w swej psychice odnaleźć wspólne momenty. Poprzez ten pomost dochodzi ona do pełnego opanowania roli, a rezultatem tej pracy jest, że kreowana przez nią postać sceniczna staje się żywa i w pełni naturalna. Dlatego też nie odrzuca ona ról, któreby można nazwać nieodpowiedniemi, lecz z każdej z nich, choćby najmniej ważnej pragnie stworzyć postać, którąby zwracała na siebie uwagę widza.

B. Skąpski (Warszawa).





Z listy-z epoki

WANDA STAARROWA

ILUSTRACJE STEFANJI JUER-DRETLEROWEJ

Ze skrytki starego biedermajerowskiego sekretarzyka wysunął się stos pożółkłych listów, przewiązanych spłowiałą błękitną wstążką. Listy pisane równiuteńkiem, misternem pismem, woniejące dyskretnie lawendą, szepcące o kochaniu babuni — nieśmiałem, wiernem, rzewnem i wzruszającem, — listy, wstydliwie skrywające żar uczuć pod szczelnie zapiętym płaszczykiem etykiety, a przecież zdradzające potęgę miłości dziewczęcego serduszka! Oto jeden z nich:

Dnia 12 kwietnia, roku Pańskiego 1853.

„Najmilszy, sercu memu drogi Oblubieńcze!

Od chwili, kiedy po raz ostatni widziały Cię oczy moje, Ty i tylko Ty wypełniasz każdą myśl moją, Ty jeden jesteś treścią życia mojego. Tyle jest pilnych zajęć w domu, cóż kiedy wszystkie one muszą ustąpić nieopanowanemu pragnieniu napisania do Ciebie, tylko to jedno bowiem może choć w części ukoić moją tęsknotę za Tobą. Wszakże Ty, mój przyszły pan i małżonek, uczyłeś mnie, że przelać swą tęsknotę na papier w słowach — znaczy złagodzić ją.

Ach, jakże byłam bezgranicznie szczęśliwą, gdy dobroczynny anioł-stróż zawiódł mnie ku oknu, właśnie w chwili, gdy Ty przechodziłeś ulicą i nasze oczy mogły pozdrowić się wzajem! Jakże wdzięczni winniśmy być Niebu za to, że pośpieszyło z pomocą naszym czułym sercom — Bóg, opiekun czystej miłości, będzie na nas łaskaw i napewno umożliwi nam częstsze spotkania. Nie potrafię, ja prosta i nieuczona istota, opisać Ci uczuć, jakie władają mem sercem: skłania się ono całe ku Tobie wzamian za Twoją miłość!

W radosnem upojeniu omal nie zdradzam się przed wszystkimi, że Ty, mój Jedyny, jesteś tym, którego okazałam się godną, że jestem najszczęśliwszą ze wszystkich śmiertelniczek, posiadłszy skarb najcenniejszy — Ciebie, dla którego bije me serce!

Ślę Tobie niezliczone pozdrowienia i pozostaję Twą tkliwie Cię kochającą narzeczoną, która z drżeniem wyczekuje Twej odpowiedzi i błaga, byś czemprędzej raczył uszczęśliwić ją Swem drogiem pismem.

Twoja wierna..."

Obok tych starych listów leżą w skrytce inne: listy miłosne prawnuczki, pisane w czasie wojny światowej... nie do narzeczonego, ani do męża, rozedrgane namiętnością, dyszące pragnieniem pieszczoty, wyzywające cały świat swą szczerością, nie wiedzące nic o pokornem czekaniu, pełne buntu i niecierpliwości!

3. VI. 1917.

„Ukochany!

Niema Cię — minęły nasze szkarłatne noce — pozostała bolesna pustka. Nie wiem, jak zniosę tę mękę rozstania. Tęczowa Fata-Morgana najsłodszych wspomnień czyha w każdym kącie mojego pokoju — wszędzie tylko Ty!

Kiedy po nadludzkiej pracy w szpitalu padam późną nocą na łóżko, nieprzytomna ze zmęczenia, tęsknota nie pozwala mi zasnąć, żyje we mnie bezlitosna pamięć naszych najszaleńszych pieszczot — widzę znowu Twoje dobre, kochane oczy, płomienne rozmiłowaniem, wpatrzone we mnie. Czuję Twe usta jedyne, całujesz mnie znowu, najpierw lekko muskając wargami, a potem coraz goręcej, coraz mocniej, aż do utraty tchu! Każdy pocałunek jest żegnaniem!

Nie mogę żyć bez Ciebie — moja miłość oddała mnie w Twą niewolę. Na nic opjumowane papierosy, na nic alkohol, nawet tabletki weronalu nie pomagają — znam tylko jeden narkotyk: czarowne utulenie Twoich ramion — —

Jestem Twoja!"

A dzisiaj? Dziś nie zdadzą się na nic nikomu gęsie pióra i kałamarze z kutego srebra lub cienkiej porcelany, zdobne w esy-floresy... Wieczne pióro służy tylko do nieodzownych zapisków, dziś wystukuje się na Underwoodzie tylko to, co najważniejsze, bo od czegóż telefon?

Dziś wystarczy dziesięć słów depeszy, nadanej między jednym a drugim sprawunkiem, między miarą u krawczyni a wizytą u dentysty:

JESTEM ZDROWA STOP PRZYSLIJ PIENIEDZY STOP OCZEKUJE SOBOTA WIECZOR DANCING STOP CAŁUSY LU

A gdy współczesna pani chce być wyjątkowo czuła i serdeczna, to każe nadać przez radjo piosenkę dla pana Iksa, że „...jeśli chce, to dobrze, a jeśli nie chce, to nie!" — — że „kochać nie warto, lecz... upić się warto!". To szczyt romantyzmu, na jaki może się zdobyć, na inny jej już nie stać. A może chciałaby właśnie poruszyć jakąś czulszą strunę, ale boi się poprostu, aby nie posądzono jej o staroświeczczyznę?



Stary sekretarz biedermajerowski był nieraz powiernikiem naszych prababek.

25-LECIE PRACY UCZNIA MATEJKI

Urodzony w Iskrzyni na Podgórzu Karpackiem, w 1865 r. Aleksander Augustynowicz, z rodziny ziemiańskiej, należy do tego samego rasowego typu, co Wojciech Kossak. Szlachetna postać, wielkopańska mina, buńczuczna indywidualność artystyczna, złote serce i wrodzony talent artysty, który nie lubiał przez całe życie żadnych nowinek, żadnych teoryjek przeciwko odrywaniu sztuki od przyrody i supremacji mózgu nad uczuciem, lecz polegał jedynie na swej intuicji malarskiej, talencie, głębokiej kulturze artystycznej i mistrzowskiej znajomości rzemiosła.

Sztukę swoją uważał Augustynowicz za wypełnienie misji, a przykładem w tym kierunku niezawodnym był mu Matejko, o którym w ten sposób pisze w swoich wspomnieniach:

„Poszedłem za nim. W bocznej nawie kościoła Marjackiego w Krakowie, niedaleko wyjścia, ukląknął Matejko w ławce i kilkakrotnie podnosił ręce w górę, któremi w przerwach twarz zakrywał. Modlił się. Tak. Modlił się...

Wrócił do pracowni, odprowadzony wzrokiem, z największą czcią przez przechodzących ulicą, by w tej pracowni budować farbą swą wymarzoną, potężną Polskę".

Oto najdosadniej wyrażony pogląd artysty na cele sztuki.

Po ukończeniu Akademji Sztuk Pięknych przeniósł się w r. 1888 do Monachjum, a od r. 1890 osiadł na stałe we Lwowie, gdzie przeżył pełnych lat 24, otoczony powszechnym szacunkiem.

Lwowski okres życia artysty był najbujniejszy. W r. 1891 za „Autoportret" otrzymuje złoty medal w Berlinie, zaś srebrny na wystawie krajowej we Lwowie za „Portret pny Cz.". W 1896 r. tworzy kapitalne dzieło, będące własnością Muzeum Narodowego w Krakowie, „Portret unickiego kardynała, Sembratowicza" i słynny „Portret dzieci", które wyżej reprodukujemy. Gmina miasta Lwowa powierzyła artyście namalowanie kompozycyj dekoracyjnych, na plafonie westibulu Miejskiego Teatru, gdzie odtworzył scenę z „Zemsty" Fredry i „Fircyka w zalotach" Zabłockiego. Lata wojny przebył w Zakopanem i tam uległ urokowi pejzażu tatrzańskiego, który malował z wielkiem odczuciem artystycznem. Z Zakopanego wyjeżdżał często do Krakowa, gdzie powstały m. i. obrazy „Ołtarz Wita Stwosza", „Kościół Marjacki", „Kościół św. Barbary" i „Wiosna na plantach".



Aleksander Augustynowicz.



Córki artysty.

Od r. 1921 przenosi się Augustynowicz do Poznania i zamieszkuje tam dotychczas.

Na Ziemi Poznańskiej i Pomorskiej znajduje przepiękne tematy architektoniczne i pejzażowe, które podniecają twórczość artystyczną. Gniezno, Toruń, Grudziądz utrwala artysta w swych impresjach z wielkim sentymentem dla starej architektury.

Charakterystyczną cechą twórczości Augustynowicza, to wielka subtelność kolorystyczna, brawurowa zwłaszcza w licznych kompozycjach kwiatowych i portretach dzieci. W portretach zbiorowych dochodzi Augustynowicz do mistrzostwa, zbliżającego go do dzieł angielskiej sztuki portretowej z końca XVIII stulecia.

Dziś znakomity artysta nie spoczywa na laurach, lecz stał się w Poznaniu sercem kolonji artystycznej, świecąc młodym przykładem pracowitości i wielkiego entuzjazmu dla sztuki, w której dziejach zdobył sobie zasłużone i wybitne stanowisko. *Mdd.*



Portret kardynała Sembratowicza.



Portret Ireny Solskiej z r. 1901.





Popielate baranki krymskie były ubiegłej zimy równie modne jak czarne i bronzowe. Oto znana tancerka Beverley Bemis w popielatem futerku.

Na lewo: Letni kostjum lniany w kolorze naturalnym bez kołnierza. Barwne szaliki dopełniają całości.

NOWE WZORY — NOWY KRÓJ

Jak jesienią cieszymy się na przejście od kostjumu i płaszcza do futer — tak wiosną nie możemy doczekać się chwili, kiedy cięższe futra pójdą na przechowanie, ustępując miejsca lżejszym okryciom. Nie znaczy to, abyśmy się wyrzekały zupełnie futra na wiosnę czy choćby na lato. Bynajmniej! Lżejsze pozostaną jako najmilsze okrycie w czas wieczornych chłodów, z którymi mamy do czynienia nietylko na wiosnę, ale i w pełni lata, czy nad morzem, czy w czasie morskiej podróży, kiedy przy lekkiej sukience nie wystarczyłby jedwabny, ani nawet wełniany płaszcz.

Oczekując cieplejszych dni, przeglądamy żurnale mód, zastanawiamy się nad doborem płaszczy i kostjumów. I jedne i drugie są reprezentowane w wiosennych pokazach mody, i jedne i drugie dają niezliczone możliwości wyboru. A te możliwości odnoszą się do kroju, materjału i naturalnie kolorów. W tych trzech kierunkach trzeba więc powziąć ostateczne decyzje, jeżeli nie chcemy zdawać się wyłącznie na poradę w magazynach mód, lecz dobierać sobie szczegóły ubioru indywidualnie.

Przypatrzmy się modelom płaszczy i kostjumów: wśród płaszczy zwycięskie miejsce zajmuje krój redingote, długi, obszerny w ramionach, zwężony w pasie, szerszy znów dołem. Z kołnierzem niedużym lub bez niego, pozwala redingote na wykorzystanie efektów szali z wielobarwnych gaz i jedwabi, w czem znów uwydatnić się mogą indywidualne cechy smaku artystycznego w ubiorze. Obok tego bardzo modny jest płaszcz trzyćwierciowy, rozszerzony dołem, pozwalający już bardzo wyraźnie na ukazanie pięknych nóżek zpod, skróconej nieco tej wiosny, sukienki.

Kołnierze przy płaszczach jak najmniejsze, ale ranwersy duże i fantazyjne, często wykończone w ząbki ostre lub okrągłe, haftowane lub obszyte z materjału. Duże guziki o niezliczonych odmianach, wyszywania szutaszem i stembnowanie barwnemi jedwabiami, oto dalsze szczegóły, których rozmaitość może być wprost nieskończona.

Tę rozmaitość obserwujemy również w materjałach na płaszcze i kostjumy. Coraz to nowe gatunki materjałów rzucają fabryki na rynek mody i to odrazu już nie w kilku, lecz w kilkudziesięciu odcieniach. Tkaniny wełniane przechodzą szczęśliwą nader ewolucję swej faktury. Są coraz delikatniejsze i coraz bardziej rafinowane. A kolory, przeznaczone do użytku wiosennego? Proszę tylko spojrzeć na te niezliczone możliwości. A więc wszelkie połączenia niebieskiego i granatowego z odcieniami czerwieni, bronz z delikatnym różowym, zielony w odcieniu butelkowym z jasno niebieskim, stalowy z pomarańczowym, fjolet z bladoróżowym, czarny z żywym niebieskim...

Jak dobierać kolory? Tu właśnie pokaże każda z pań swój dobry gust i znajomość arkanów estetyki ubioru. W dziedzinie kolorów nieda się ustalić żadnych norm. Wszystko zależy od karnacji ciała, od koloru włosów, oczywiście wieku i ogólnej sylwetki. Ten sam model może skutkiem tego prezentować się doskonale na dwóch zupełnie różnych figurach, o ile tylko kolory zostały umiejętnie dobrane. Krój i kolor, to dwa elementy stroju, decydujące o elegancji i wytwornym wyglądzie kobiety.

Każda z pań może wyglądać doskonale zarówno w płaszczu, jak i w kostjumie, o ile tylko, dobierając je, uwzględni te dwa momenty: krój i barwę.

Wśród kostjumów jakaż tej wiosny rozmaitość! Od prostego kroju angielskiego, po

Od lewej: Sukienka beige z bluzką w różnokolorowe kwiaty. Efektowne bolerko podszyte jest jedwabnym materjałem tegoż wzoru co bluzka. — Modne obecnie wyszywanie szutaszem daje w tym płaszczyku letnim ciekawe efekty. Na białym tle deseń granatowy, takież plisy, kapelusz i buciki.





przez formy sportowe, modele francuskie, o bardzo dowolnych elementach ozdobnych, aż do kostjumów jedwabnych imprimée, rozpiętość jest bardzo wielka.

Kostjum angielski można nosić z roku na rok, bo nie zmienia swego kroju. Kostjumy sportowe i codzienne zmieniają się odnośnie ilości swych części składowych. Obok trzyczęściowego — spódniczka, żakiecik, płaszcz lub cape — mamy już czteroczęściowe. Do poprzednich dochodzi bowiem także i bolerko lub kamizelka. W ten sposób stały się one nadzwyczajnie praktyczne na pierwsze chłodne wiosenne dni, kiedy już słońce wabi nas na ulice, łudząc blaskiem, ale nie dając tyle ciepła, aby można było w zwykłym kostjumie spacerować.

Kostjumy wieloczęściowe dobrze się prezentują i z materjałów włochatych i gładkich. Te ostatnie jednak najodpowiedniejsze są na kostjumy francuskie, wymagające nadzwyczajnej precyzji kroju, licznych ozdobnych zakładeczek, zmarszczek i obszyć deseniowych w tym samym materjale.

Każdy kostjum wymaga innego rodzaju bluzeczki, podobnie jak i zestawienie płaszczyka z sukienką, wymagające wiele subtelnej znajomości kolorystycznych walorów wiosennej mody. Powyżej podaliśmy wiele możliwości łączenia ze sobą kontrastujących barw i odcieni, dodać jeszcze należy do nich czerń, mającą zawsze swój walor i materjały białe.

Zwłaszcza modna jest bardzo czysta wełna w naturalnym białym kolorze na płaszcze długie i trzyćwierciowe. Lamowana zielonym lub czerwonym ślicznie wygląda przy sukienkach w tym właśnie kolorze.

Naturalne barwy wełny, płótna i słomki, szczególnie prawdziwej panama, są hasłami nadchodzącej wiosny i lata.

Mewa.

* * *

Mówiąc o nowych kreacjach materjałów, nie można pominąć tekstylnej wystawy w Berlinie, którą w ubiegłą środę otworzył minister Goering. Wystawa ta, urządzona w berlińskim „Funkturm", ma na celu propagandę całej niemieckiej wytwórczości tkackiej i konfekcyjnej, forsowanej dziś w Trzeciej Rzeszy, jako jedna z b. ważnych gałęzi przemysłu krajowego, w związku z gospodarczym planem czteroletnim. Wystawa obejmuje retrospektywny przegląd rozwoju tkactwa niemieckiego, zabytkowych tkanin artystycznych, aparatu technicznego, oraz nowoczesny dział tekstylny połączony z wielkiemi pokazami niemieckich modeli i efektowną rewją urozmaiconą muzyką, tańcami i piosenkami.

Wszystkie modele tualet wykonane są wyłącznie z materjałów krajowych, wśród których sztuczny jedwab i nowy rodzaj wełny „Zellwolle" zajmują główne miejsce. Dążeniem Niemiec w dziedzinie mody i przemysłu tkackiego, podobnie jak i w innych dziedzinach wytwórczości, jest jak najdalej idące uniezależnienie się od zagranicznych surowców i od dotychczasowej dyktatury Paryża we wszystkiem, co dotyczy przemysłu konfekcyjnego. Obecna wystawa ma na celu wykazanie, że kobieta niemiecka rezygnując z paryskich tualet i zagranicznych materjałów, nie jest zmuszona rezygnować zarazem z prawdziwej elegancji i dobrego smaku. I trzeba przyznać, że wysiłki niemieckie w tym kierunku nie pozostały bez skutku, a poziom gatunków i wzorów nowoczesnych tkanin reprezentowanych na wystawie jest zupełnie zadawalniający.



Powyżej: Popołudniowy płaszcz wiosenny bez kołnierza, z dużymi ranwersami w drobne zakładki, takież zakładki na bokach

Poniżej: Komplet popołudniowy z jedwabiu w turecki deseń. Kołnierz i kapelusz z czarnego jedwabiu cirée. Duże guziki z czarnych błyszczących koralików.





Z wystawy tekstylnej w Berlinie: Modelki ubrane w średniowieczne stroje niosą chorągwie, zrobione z różnorodnych modnych materjałów. ***Scherl.***



A oto uroczy zespół baletowy, mający zaznajomić widzów nie tyle z nowym tańcem, co z nowymi sztucznymi jedwabiami. ***Fot. Scherl.***

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z KASZKI, T. ZW. GRYCA (kuchnia dietetyczna). Trzy łyżki kaszy jęczmiennej zalewa się **małą ilością** wody, dodaje kawałek pietruszki oraz grzyba i gotuje powoli przy dolewaniu troszkę wody i rozkłócaniu rogalka, aby się kaszka rozklejała. Wzmianka o ilości wody przy nastawianiu kaszki była dla nieświadomych tej właściwości kaszy, że zalana większą ilością nie rozklei się równomiernie i pozostaną zawsze pojedyncze twarde ziarnka, które słabe żołądki drażnią. Ugotowaną zupę podprawia się łyżeczką świeżego masła oraz żółtkiem, o ile nie było innego wskazania lekarza.

SELER NA JARZYNĘ (potrawa grecka). Dla zwolenników selera — a znajdziemy ich szczególnie między panami sporo — podajemy mało znany przepis na przyrządzanie jarzyny z selera, nadającej się szczególnie jako dodatek do sztuki mięsa. Oryginalny przepis brzmi: 10 dkg cebuli, pokrajanej w plastry smaży się w paru łyżkach oliwy na jasno-złoty kolor, następnie wkłada się dwa oczyszczone i również w cienkie plastry pokrajane selery, podlewa wodą lub rosołem, dodaje dwie kostki cukru, troszkę soli i jeszcze dwie łyżki oliwy i dusi pod przykrywą do miękości. Jarzynę tę podaje się na zimno jako sałatę, lub na gorąco, w którym to wypadku należy ją pod koniec duszenia zapruszyć łyżeczką mąki i zagotować.

SZTUKA MIĘSA AU GRATIN. Z 5 dkg masła i tyleż mąki smaży się jasną zasmażkę, zalewa szklanką zimnego mleka, dodaje soli, pieprzu, soku cytrynowego do smaku, rozprowadza na gładki, gęsty sos, który w razie potrzeby można rozrzedzić rosołem. Mięso z rosołu pokrajane w plastry, macza się pojedynczemi plastrami w sosie, składa zgrabnie na ogniotrwałym półmisku, posypuje parmezanem i zapieka w piecyku przez 10 minut. Purée ziemniaczane i zielona sałata, jako dodatek.

ORYGINALNE WŁOSKIE RIZOTTO. 30 dkg mięsa cielęcego pokrajać drobno i dusić z poprzednio przysmażoną na oliwie (może być masło) posiekaną cebulką, papryką, solą i czterema łyżkami marmolady pomidorowej. Filiżankę ryżu wytrzeć w czystej ściereczce, nie płócząc go poprzednio, zmieszać z łyżką oliwy (masła) i prażyć na ogniu przez chwilę; kiedy zacznie trzeszczeć, zalewa się go 2½ filiżankami rosołu z kości lub buljonu. Nie należy jednak wlewać odrazu całej ilości rosołu, lecz dolewać po trosze wśród mieszania. Po 20 minutach powinien ryż być miękki. Wkońcu dosypuje się dwie łyżki parmezanu, miesza, wykłada na półmisek i pokrywa uduszonym poprzednio wspomnianym gulaszem cielęcym, podprawionym również parmezanem. Potrawę należy szybko po wyłożeniu na półmisek podać.

SZPINAK Z KROKIETKAMI. Talerz przefasowanych, świeżo gotowanych ziemniaków miesza się z 10 dkg zmielonej szynki lub kiełbasy i dwoma jajami, formuje podłużne krokietki, które się szybko osmaża na **rozpalonym** mieszanym tłuszczu. Na środku półmiska umieszcza się przyprawiony na gęsto szpinak, który się otacza krokietkami. Wszystko polewa się rumianem masłem i posypuje siekanym szczypiórkiem.

LEGUMINA Z GRYSIKU. 15 dkg grysiku ugotować na gęsto w wodzie pół na pół z mlekiem z dodatkoiem soli i łyżki masła. Po ugotowaniu i ostudzeniu miesza się grysik z 2—3 żółtkami, dodaje wkońcu sztywną pianę z białek, miesza i wykłada po łyżce na deskę posypaną tartą bułeczką. Z grysiku formuje się placuszki, kładzie na każdy troszkę suchej konfitury, składa w formie pierożka, zlepia i wysmaża z obu stron na rozpalonym tłuszczu. Wyłożone na półmisek posypuje się pierożki suto cukrem z wanilją. Doskonała, szczególnie przez dzieci lubiana legumina.

TORT CZEKOLADOWY, T. ZW. SACHER BEZ ŻÓŁTEK. 8 dkg masła i 8 dkg czekolady roipuścić na ogniu, dodać 16 dkg cukru i dobrze wymieszać. 6—7 białek ubić na tęgą pianę, połowę piany wymieszać z ostudzoną masą, potem domieszać 8 dkg mąki, wkońcu dodać resztę piany, lekko wymieszać, nałożyć do masłem natartej formy i piec w niezbyt gorącym piecu. Tort powinien podnieść się o połowę pierwotnej wysokości. Na drugi dzień po upieczeniu pokrywa się tort marmoladą morelową i oblewa czekoladą, lub też przekłada (przekrojony przez pół) konfiturami.

ORZECHOWY TORT Z BIAŁEK. 6 białek ubić na pianę, dodać 20 dkg cukru, 10 dkg mielonych orzechów, wkońcu 8 dkg dobrej mąki lub tartej bułki. Masę piecze się w natartej masłem formie (tortownicy). Po ostudzeniu napełnia się przekrojony tort kremem. Przepis na krem: 12 dkg cukru z wanilją, 2 żółtka, 1/4 l mleka i łyżeczkę mąki ubija się na parze na gęsty krem, poczem miesza się ostudzony krem z 8 dkg deserowego masła, utartego na pianę. Chcąc mieć krem kawowy, bierze się w miejsce mleka dobrą białą kawę.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Nieraz brak zapałek staje się, zwłaszcza wieczorem kiedy sklepy są zamknięte, „cichą tragedją" w królestwie kuchni. Obok zreprodukowany wynalazek, przypominający szczypce z krzemieniem, podobnie jak w zapalniczce, zastępują praktycznie zapałki przy kuchni gazowej. Główna ich zaleta polega na tem, że nie zawodzą.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 16	Kwiecień — 30 dni
NIEDZIELA 11 Leona pap.	Bulion consomme. Sztuka mięsa au gratin. Kaczka z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki sałatowej. Tort czekoladowy. Kolacja: Pasztet z wątróbki cielęcej.
PONIEDZ. 12 Juljusza p.	Zupa z kaszki i grzybów. Włoskie rizotto. Ozór wołowy duszony z purée z ziemniaków. Kompot mieszany. Kolacja: Szpinak z krokietkami.
WTOREK 13 Justyny p.	Zupa cytrynowa z ryżem. Omlety z siekaną szynką. Pieczeń cielęca z duszoną marchewką z groszkiem. Legomina z grysiku. Kolacja: Jaja w sosie śmietanowo-chrzanowym.
ŚRODA 14 Walerjana m.	Kapuśniak na wędzonce. Jaja sadzone na grzankach z bułki. Zrazy zwijane z grzybami z kaszą tatarczaną. Galaretka pomarańczowa. Kolacja: Ruskie pierożki z słoninką lub śmietaną.
CZWARTEK 15 Anastazji	Rosół z lanem ciastem. Kruszka cielęce w sosie cytrynowym. Kura z rosołu z chrzanem jajecznym i ziemniaczkami. Sałatka z pomarańcz i bananów na surowo. Kolacja: Hachée z mięsa z rosołu.
PIĄTEK 16 Lamberta	Barszcz zabielany z twardem jajem. Knedelki bułczane z sosem grzybowym. Karp smażony lub pieczony z ziemniaczkami. Naleśnikowy tort z konfiturą i orzechami. Kolacja: Sałata śledziowa z ziemniaczkami.
SOBOTA 17 Rudolfa b.	Pomidorówka z ryżem. Fasola biała z masłem i bułeczką. Befsztyki greckie /siekane/ z zieloną sałatą. Budyń orzechowy z sosem waniljowym. Kolacja: Płatki z szynką.

HOCKI-KLOCKI

SENSACYJNY WYNALAZEK ŚREDNIOWIECZA.



— Oto nowość, którą zaprowadził dowódca arsenału, gdyż twierdził, że za dużo wydajemy na amunicję... („Ric et Rac").

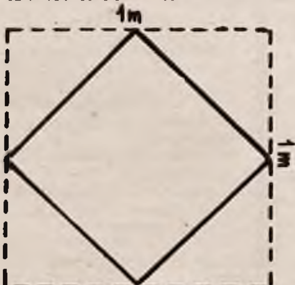
PESYMISTKA.



— Tak, to mój narzeczony, ciągle mi towarzyszy.
— Zmieni się, jak pani wyjdzie zamąż. (Le Rire).

Rozwiązania z N-ru 13 i 14.

KWADRATOWE OKNO.



Na rysunku widzimy kwadratowe okno — po zasłonięciu czterech trójkątów (wyznaczonych przerywaną linją) profesor ma w dalszym ciągu kwadratowe okno o metrowej wysokości i szerokości.

KOTY I MYSZY.

Również pięć kotów.

SYNOWIE.

Rację miał Jan.

SANDAŁY.

Tyle sandałów, ilu jest mieszkańców stolicy. Dla osób o jednej nodze należało kupić po jednym sandale, a ponieważ **połowa** pozostałych potrzebuje po dwa sandały, więc należy im kupić tyle, ile trzebaby było, gdyby i dla **wszystkich** pozostałych kupowało się po jednym sandale.

POTOMSTWO MAHARADŻÓW.

Maharadża Kolindail ma 10, a maharadża Rajpulanu 7 synów.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TRUCIZNY.

W wyniku większej dostępności trudno wykrywalnych trucizn, stosunek niewykrytych morderstw wzrósł z 11.8% w 1926 r. na 18.7% w 1936 r.

Czy jest coś nieprawdopodobnego w tem statystycznem porównaniu?

ZEGAR PANA KANARKA.

Pan Wróbel zauważył, że wskazówki dużego zegara jego przyjaciela pana Kanarka pokrywają się dokładnie co 65 minut czasu prawidłowego.

Czy zegar pana Kanarka spieszy się, czy spóźnia, i na ile?

SZYBKOŚĆ SAMOCHODU.

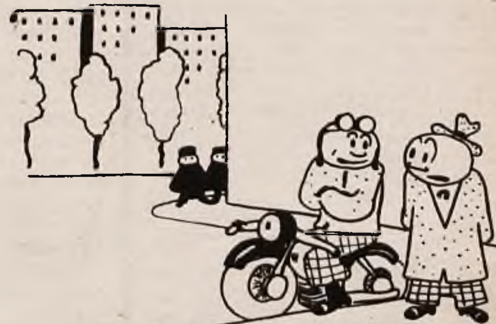
Szedłem szosą z szybkością sześciu kilometrów na godzinę — opowiadał turysta — gdy minął mnie piękny samochód. Od chwili, w której mnie minął, aż do zniknięcia jego na zakręcie szosy, przeszedłem 27 kroków, idąc zaś dalej, sam znalazłem się na zakręcie po przejściu jeszcze 216 kroków. I ja i samochód posuwaliśmy się ze stałą szybkością, ile więc kilometrów na godzinę robił piękny wóz?

REFLEKSJA NA CZASIE.



— Czy uważasz, że w polityce miałbym więcej powodzenia? („Nebelspalter").

SKRUPULAT.



— Piękny motocykl! Ukradziony?
— Nie, kupiony za 2000 złotych!
— A te 2000 tysiące złotych?
— Ukradzione! („Ric et Rac").

DRZEWA OWOCOWE.



Ogrodnik posiada dwadzieścia dwie jabłonie, zasadzone tak, jak to widzimy na rysunku. W jaki sposób należy przesadzić sześć drzew, aby jabłonie rosły w dwudziestu rzędach, po cztery drzewa w każdym?

Dokończenie z str. 11-tej.

nie o wyglądzie tej pamiątki, przyczem należy zaznaczyć, że Złote Róże nie były nigdy identyczne, posiadając pewne odmiany. Oto opis Złotej Róży z katedry wawelskiej: „Na postumencie złotym, wysokim na 24 cale, ozdobionym herbem papieża Klemensa XII umieszczony jest bukiet złoty, złożony z trzynastu róż, wysoki cali 16, w szczytowej róży osadzony jest pięknie szlifowany szafir, do sześciu głównych gałązek doczepionych jest pobocznych 39, na których listków razem 151. Cały ten bukiet waży 600 dukatów".

Poświęcenie Złotej Róży odbywa się w czwartą niedzielę postu w prywatnej kaplicy papieża bez żadnych zresztą specjalnych uroczystości. Złota Róża przeznaczona dla królowej włoskiej i cesarzowej Abisynji została poświęcona przez papieża Piusa XI dnia 7 marca, a następnie wręczona przez nuncjusza apostolskiego przy Kwirynale Mgr. Borgognini Duca w kaplicy królewskiego pałacu. Warto wspomnieć, że w ostatnich czasach papieże tylko pięciokrotnie obdarowali królowe Złotą Różą, a mianowicie w r. 1888 przesłał ją Leon XIII cesarzowej regentce Brazylji, w r. 1893 królowej Belgów, w rok później królowej Amelji portugalskiej, matce króla Emanuela, w r. 1913 królowej Enie hiszpańskiej, a wkońcu w r. 1925 królowej Belgów Elżbiecie, małżonce tragicznie zmarłego króla Alberta. Wszystkie te monarchinie odznaczyły się nietylko wielkiem przywiązaniem do Kościoła, ale również swą charytatywną pracą, a nieraz również mądrą działalnością polityczną.

Jan Maleszewski.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Pomimo, iż zainteresowanie medjumizmem sięga w Polsce połowy XIX w. i niejeden z naszych wybitnych uczonych, literatów i poetów zajmował się temi zagadnieniami, posiadamy w tym zakresie nader szczupłą literaturę. Wprawdzie ukazywały się sporadycznie publikacje, omawiające zjawiska okultystyczne, (Dr. Habdank, Dr. Watraszewski itd.), to jednak były one przeznaczone dla ludzi poświęcających się tym zagadnieniom i nie potrzebującym wykładu „ab ovo". Dziedzina tak skomplikowana i tak wielostronnie zazębiająca się o inne zjawiska sfery duchowej, jak okultyzm, wymagała zasadniczego, podstawowego dzieła informacyjnego. Tego wdzięcznego, ale też trudnego zadania dokonał ostatnio **Ludwik Szczepański**, ogłaszając swe dwa tomy „Okultyzm współczesny. Fakty i złudzenia", które obecnie wyszły ponownie, ujęte w jedną całość. Najnowszym przyczynkiem do encyklopedji nauk okultystycznych jest nowa jego książka p. t. **„Cuda współczesne"**, (Kraków, 1937, wyd. „Natura i kultura"). Książka zajmuje się najciekawszemi i najsensacyjniejszemi zjawiskami współczesnemi o których dużo już pisano, ujmując jednak istotę rzeczy z punktu widzenia raczej ciekawostki dziennikarskiej, niż ze strony nauki. Autor omawia szczegółowo takie zagadnienia jak cuda w Lourdes, stygmaty Teresy Neumann z Konnersreuth, i Naści Wołoszynówny zpod Lwowa, cud św. Januarego tajemnice fakirów hinduskich i wiele innych, wkońcu daje ciekawe szczegóły o przeżyciach Marsz. Piłsudskiego odnośnie okultyzmu. Autor traktuje te tematy gruntownie, naukowo, opiera się na licznej literaturze, z którą zresztą nieraz polemizuje, i stara się dać czytelnikowi pewną syntezę tak zawiłych zresztą i trudnych zagadnień. Zwłaszcza dla tych, którzy interesując się tą dziedziną nie mają możności przestudjowania literatury zagranicznej, książka L. Szczepańskiego będzie ważnym i ciekawym informatorem, który zorjentuje ich w zasadniczych kwestjach okultyzmu. **jgm.**

Polski świat sportowy i nie tylko sportowy przyjmie z pewnością z wielkiem zaciekawieniem fakt ukazania się w druku **pamiętnika Stanisława Zbyszko Cyganiewicza.** Właściwie od dawna już mówiono ze zdziwieniem, dlaczego trzykrotny mistrz świata, atleta najsławniejszy chyba w świecie w ciągu kilkudziesięciu lat, nie napisał dotychczas pamiętnika. Któż, jak nie Cyganiewicz właśnie mógłby dać w pamiętnikarskim zakroju rzecz naprawdę interesującą?

Obecnie jednak Cyganiewicz wypełnił te pragnienia i wydał pamiętnik, a raczej pierwszą jego część, to znaczy do wybuchu wielkiej wojny. Książka ta ukazała się w Warszawie pod tytułem **„Na ringach całego świata"** i na przeszło 140 stronach zawiera niezwykłą obfitość sensacyjnego materjału. Istotnie czyta się tę książkę, pisaną miłym, gawędziarskim stylem, z niezwykłem zainteresowaniem i z takiem zainteresowaniem nietylko przeczytają ją sportowcy, ale wogóle wszyscy, a zwłaszcza ci, którzy wiedzą i pamiętają o tem, że ten właśnie atleta, Stanisław Zbyszko Cyganiewicz, przez lat kilkadziesiąt był wspaniałą propagandą tężyzny polskiej w wielu krajach, jedynym może Polakiem, o jakim mówiono z entuzjazmem i z podziwem w czasach gdy Polski nie było jeszcze na żadnej mapie świata.

W poszczególnych rozdziałach tej sensacyjnej książki opisuje Cyganiewicz kolejno swą młodość i pierwsze swe walki jeszcze jako ucznia gimnazjalnego, następnie pierwsze większe spotkania już po zdaniu matury w Krakowie, a następnie kolejno etapy swej światowej karjery i walki z najsławniejszymi ówczesnymi zapaśnikami w stolicach całego świata, w Europie i Ameryce. Niezwykła ta książka zamyka się rozdziałem p. t. „Polacy są wszędzie", w którym Cyganiewicz zestawia pokrótce listę słynnych polskich zapaśników z ostatnich lat kilkudziesięciu.

Pamiętnik Cyganiewicza **„Na ringach całego świata"** stanowi w pełnem tego słowa znaczeniu lekturę fascynującą. **z.**

GRAFIKA WYCZÓŁKOWSKIEGO w Muzeum Miejskiem w Bydgoszczy

W najbliższą sobotę i niedzielę, t. j. dnia 10 i 11 bm., odbędą się w Bydgoszczy uroczystości ku czci **Leona Wyczółkowskiego**, związane z 85 rocznicą urodzin, oraz imienin zmarłego mistrza malarstwa. W sobotę w Teatrze Miejskim odbędzie się uroczysta akademja ku czci Wyczółkowskiego, na której przemówienia wygłoszą: min. W. R. i O. P. prof. dr Wojciech Świętosławski, prezydent miasta L. Barciszewski, oraz prof. Marjan Turwid. W niedzielę zaś odbędzie się uroczyste otwarcie wystawy **grafiki Leona Wyczółkowskiego**, stanowiącej część daru, otrzymanego przez miasto Bydgoszcz od p. Franciszki Wyczółkowskiej. W czasie uroczystości otwarcia przemówienie wygłosi dyr. Muzeum Narodowego w Krakowie dr F. Kopera.

Jak wiadomo, zbiory, pozostałe po Leonie Wyczółkowskim, otrzymało miasto Bydgoszcz, które już obecnie nie może pomieścić wszystkich swych cennych zbiorów w dotychczasowym szczupłym budynku i zamierza wkrótce przystąpić do budowy nowego muzeum. **Muzeum Miejskie** powstało przed 15 laty, jest dziełem wyłącznie polskiem, posiada ciekawe zbiory archeologiczne, oraz cenną galerję obrazów i rzeźb z dziełami Matejki, Juljusza Kossaka i Siemiradzkiego na czele. Główną jednak atrakcją muzeum jest kolekcja prac Bydgoszczanina — Piotrowskiego, malarza z ubiegłego stulecia.

Obok Muzeum znajduje się **Bibljoteka Miejska**, będąca bardzo wartościową placówką w życiu kulturalnem Bydgoszczy, a obie instytucje kierowane są przez wybitnego znawcę i działacza dra Witolda Bełzę. Bibljoteka Miejska powstała jeszcze za czasów pruskich przed 35 laty, ale na 70 tysięcy tomów zawierała około 300 mało wartościowych książeczek polskich. Dr W. Bełza rozwinął przeto niestrudzoną działalność tak, że pozyskał dla Bibljoteki olbrzymią ilość cennych dzieł, inkonabułów, rękopisów, autografów i t. d., wśród których znajduje się wiele rzadkich druków polskich. **(b)**



Niedziela, 11 kwietnia.

9.00 Transmisja nabożeństwa z Wilna.
10.45 Koncert rozrywkowy.
12.03 Poranek muzyczny z Katowic.
14.20 „Radjowy abonent Stolicy Nr. 100.000 przed mikrofonem"
14.30 „Wesele mazurskie" — ludowy obrazek muzyczny.
15.15 Zespół harmonistów.
15.30 „Audycja dla wsi".
16.00 Muzyka lekka.
16.30 Wznowienie słuchowiska „Biedna młodość".
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie".
19.00 Szkic literacki „Z życia Orzeszkowej".
19.20 Muzyka angielska (płyty).
21.00 „Żółty mops" — komedja muzyczna.
21.40 Pieśni węgierskie.
22.10 Orkiestra wileńska.
23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 12 kwietnia.

12.03 Marsze w wykonaniu orkiestry wojskowej.
12.30 „Od warsztatu do warsztatu" — audycja poświęcona rzemiosłu krawieckiemu.
15.15 „Od sopranu do basu" — koncert.
15.55 „Wszystkiego po trochu" audycja dla dzieci.
16.30 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
17.05 „Program liceów ogólnokształcących" — odczyt dla nauczycieli.
17.20 Władysław Żeleński: Kwartet smyczkowy A-Dur.
18.10 Przemówienie kierownika Okręgowego Urzędu W. F. i P. W. Toruń.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Koncert muzyki ludowej z przyśpiewkami.
20.15 Utwory Debussy'ego w wykonaniu Zygmunta Dygata.
21.00 „Moralność Pani Dulskiej" — fragment słuchowiskowy.
21.30 Mała Orkiestra P. R.
22.00 Koncert symfoniczny.
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, 13 kwietnia.

12.03 Nicolo Paganini (płyty).
15.15 Utwory fortepjanowe i pieśni.
16.30 „Płyty za płytą".
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona.
17.15 XII audycja „Sonaty skrzypcowe" Beethovena".
17.40 „Babsko kurocyjo" — wesoły obrazek.
18.10 Przemówienie Okręgowego Urzędu W. F. i P. W. Brześć nad Bugiem.
10.00 „Dyskutujmy" — „Po co chodzimy do kina?"
19.20 Józef Haydn: fragmenty z Oratorjum „Cztery pory roku" (z Wilna).
21.00 „Odgłosy polskie" — koncert.
22.00 „Beniowski w życiu i w literaturze" — szkic literacki.
22.25 Muzyka taneczna.

Środa, 14 kwietnia.

15.15 Mozaika muzyczna.
16.10 „Kukiełki śląskie": „Strachy w bibljotece" — audycja dla dzieci.
16.30 Koncert chórów ludowych.
17.15 „Z naszych wspomnień muzycznych".
17.50 „Spokojne sumienie" — „Rozmowa z przyjacielem".
18.25 Muzyka lekka (płyty).
19.20 „Słynni dyrygenci" — koncert.
20.05 Koncert rozrywkowy (płyty).
21.00 „Opowieść o Chopinie" — XIV wieczór — „Portret Fryderyka".
21.45 Koncert kameralny.
22.25 Muzyka taneczna.

Czwartek, 15 kwietnia.

10.03 Lekka muzyka włoska.
12.50 „Doświadczenia polowe w mniejszem gospodarstwie".
15.15 Wiązanka melodyj filmowych.
16.35 Piosenki (płyty).
17.00 „Walka z gruźlicą" — dialog.
17.15 Ignacy Feliks Dobrzyński: Sekstet Es-Dur.
18.10 Przemówienie Inspektora W. F. i P. W. z Katowic.
18.25 Muzyka lekka.
19.00 „Czarne tulipany" — słuchowisko.
19.40 Arje i pieśni odśpiewa Sergjusz Benoni.
20.00 Muzyka lekka.
22.00 „W ogródku wiedeńskim" — kwartet Schrammla.
22.40 Muzyka taneczna.

Piątek, 16 kwietnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Wirtuozi fortepjanu i skrzypiec (płyty).
15.15 Mała Orkiestra P. R.
16.30 Koncert orkiestry Straży Więziennej.
18.20 Muzyka lekka (płyty).
19.20 „Z pieśnią po kraju".
20.15 Koncert symfoniczny.
22.30 „Skrzynka zażaleń Nr. 2" — monolog Hemara.
22.15 Muzyka taneczna.

Sobota, 17 kwietnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenni" — audycja dla szkół.
12.03 Koncert popularny.
14.30 „Związek 4-ch zuchów" — słuchowisko dla dzieci.
15.15 Koncert rozrywkowy.
16.15 Melodje Suppe'go.
17.00 Koncert solistów.
18.20 Muzyka lekka.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.30 „Salon Choufleury" — operetka w 1 akcie.
21.00 Koncert wieczorny.
22.00 „Kukułka wileńska".
22.30 Mała Orkiestra P. R.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.